

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 9 LIPCA 1927 ROKU

NR 28

TREŚĆ NUMERU: Kobiety w Lidze Narodów—*Marja Sunderland*. Samowystarczalność kobiety zarobkującej—*W. L.* O kropkę wody — *M. H. Szpyrkówna*. Don Karlos infant hiszpański — *Fryderyk Szyller* — przekład dla teatru Narodowego w Warszawie *I. K. Młakowiczówny*. Kaczęta (powieść)—*W. Miłaszewska*. Plantator z Malaty (c. d.)—*J. Conrad*. Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Z teatrów—*S. P. O.* O kinie—*Zygmunt Knothé*. Historia chleba i dzisiejsze od niego wymagania — *M. Szadurski*. Rozmnażanie królików — *M. Trybalski*. Koło studjów gospodarstwa domowego—*H. Okęcka*. Kwiaty — *J. S.* Lipiec w gospodarstwie domowym—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Jeszcze kapelusze — *Well*. Improvizowane umeblowanie. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony” — *Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł.* Arkusz wzorów.

KOBIETY W LIDZE NARODÓW

Każdy prąd demokratyczny odwołuje się do kobiet, i żywy wśród nich znajduje oddźwięk. Historia pozwala nam stwierdzić, że między rozwojem demokracji, a emancypacją kobiet istnieje ścisły łącznik, i tak np. w militarnych, junkierskich Prusach cesarz Wilhelm formułował program dla kobiet w trzech K: Kirche, Kinder und Küche (Kościół, dzieci i kuchnia) i śladem tej ideologii napiętnowane są kobiety nawet w republikańskich Niemczech; natomiast w krajach północnych, że wymienię Anglię, kraje skandynawskie, a przede wszystkim Danję, kobiety uzyskały prawne i faktyczne równouprawnienie. Zatem historia wszystkich ruchów społecznych drugiej połowy 19-go stulecia wskazuje niezbicie, iż prądy demokratyczne, w pewnym stadium swego rozwoju, zwracając się do kobiet, żywe wśród nich znajdowały poparcie, czy to wymienię kooperatywy, ruchy zawodowe, prohibicję, etc. Nic też dziwnego, że jeden zwłaszcza kierunek myśli demokratycznej, jakkolwiek dzieli obozy polityczne, prawie że bez zastrzeżeń znajduje poparcie w masach i sercach kobiecych. Tym kierunkiem jest pacyfizm—idea pokoju i współpraca narodów.

Kiedy po utworzeniu Ligi Narodów sprawa porozumienia państw i ludów, która dotychczas była przedmiotem rozmów dyplomatycznych w zaciszach gabinetów ministerjalnych, przedostała się na otwartą arenę interesów politycznych i gospodarczych państw, uwydatnił się wpływ szerokich mas wyborców, oraz wpływ stronnictw i parlamentów na niedostępne

przedtem dla zwykłych śmiertelników sprawy polityki międzynarodowej; odtąd również uwydatnił się wpływ kobiet.

U samej już kolebki Ligi Narodów, w czasie formułowania jej paktu, rozlega się donośny głos kobiet. W pierwotnej redakcji paktu zostały one pominięte i obradujący wówczas w Paryżu Kongres Międzynarodowych Rad Kobiecych wyłonił z siebie delegację, która udała się na komisję, obradującą pod przewodnictwem Prezydenta Wilsona. Przypomniała, że przez cały ciąg wojny kobiety niosły największy ciężar na swych barkach, że przemawiają w imieniu miliona matek, dotkniętych żałobą. Delegacja zostaje wysłuchana przez prezydenta Wilsona, i oto artykuł 7 paktu Ligi Narodów otrzymuje brzmienie następujące:

„Wszystkie stanowiska w Lidze Narodów są dostępne zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet”.

Odtąd ruch kobiecy wlewa się szeroką falą w łożysko pracy społecznej na terenie międzynarodowym. Otwiera się przed kobietami ogromne pole pracy, i zostają uznane ich kwalifikacje, zdolności, oraz sumienność pracy. Zgóry zaznaczyć muszę, że kobiety ze wszystkich krajów umiały wyzyskać nadane im równouprawnienie i niejedna cegiełka rzetelnej wartości do gmachu Ligi Narodów została położona ręką kobiecą. Co tylko ruch kobiecy w każdym kraju miał najznakomitszego: najtęższe głowy, najpiękniejsze charaktery—kraj każdy starał się wysłać do Ligi Narodów. Galerja kobiet, pracujących w Lidze

Narodów, jest bardzo ciekawa, uderzająca różnorodnością typów, postaci, i zasługuje na uwagę historyka, świadcząc, że do przekazanych nam przez historię typów kobiecych od czasów Kleopatry, Katarzyny, pani Pompadour i pani Dubarry—potrafiły one dodać typy nowe, występujące we współczesnych warunkach i nierównie bardziej interesujące.

Kobiety biorą udział we wszystkich organach Ligi Narodów, a więc uczestniczą w zgromadzeniu, jako pełne delegatki, lub zastępczyni, pracują w sekretariacie Ligi, instytucji stałej, której członkowie mają ważną i odpowiedzialną pracę, gdyż na nich to polega wprowadzanie w czyn uchwał Zgromadzenia. Tyle ważnych międzynarodowych kwestyj wchodzi w zakres prac Ligi Narodów, że trzeba było utworzyć jeszcze komisje doradcze i techniczne, jedne tymczasowe, inne stałe.

Z Komisji tych wymienić można: Prawną, Polityczną, Finansową, Higieny, Komunikacji, Mniejszości, Mandatów, Rozbrojenia, Współpracy Umysłowej. Kobiety współpracują licznie we wszystkich tych komisjach. Przyjrzyjmy się sylwetkom tych kobiet. Galerję ich otwiera czcigodna postać Dunki, Fröken Forchhammer.

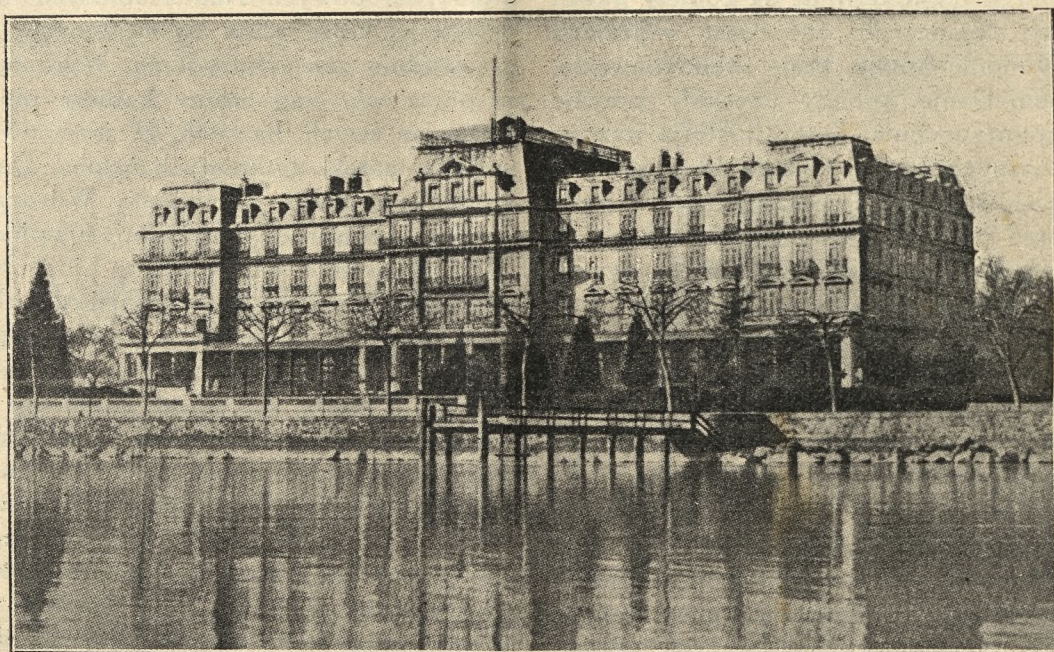
Udział kobiet z krajów skandynawskich, współmierny do politycznego znaczenia tych krajów, jest wymownym dowodem, że owe małe narody przodowały cywilizacji w prawdziwej demokratyzacji.

Już we krwi p. Forchhammer istnieć musiały zadatki internacjonalizmu. Córnica duńczyka i norweżki, jako dziecko mówiła dwoma językami, później przyswaja sobie i angielski. W wieku młodzieńczym podróżuje dużo, obserwując bacznie zwyczaje ludów.

Poświęca się studjom lingwistycznym w Szwecji i we Włoszech. Podróżuje jej i studja, rozszerzając jej widnokrąg umysłowy, kierują p. Forchhammer, jak sama później wyznaje, na drogę współpracy narodów. Jako kobieta 30-letnia posiada już zupełnie sformułowany cel życia: udział w międzynarodowym ruchu zbliżenia narodów.

Bierze również bardzo czynny udział w ruchu kobiecym. Przewiduje, że nadejdzie czas przyznania praw politycznych kobietom duńskim i pragnie, by kobiety duńskie godnie się do tego przygotowały. Zakłada więc Duńską Radę Narodową Kobiet. A w roku 1916 marzenie jej zostaje spełnione: — kobietom duńskim zostaje nadane prawo głosowania. Dzień ten został uczczony olbrzymim pochodem kobiet do zamku królewskiego, a na czele postępowała Fröken Forchhammer. Kiedy Ford zwołuje w roku 1916 międzynarodową konferencję polityki społecznej, p. Forchhammer uczestniczy w niej i bierze żywy udział w dyskusji. Odtąd życie jej wypełnione jest nieustrudzoną pracą dla ruchu kobiecego i podróżami. Zwiedza pokolei Szwajcarię, Holandję, Szwecję i Norwegję, zawsze czynna, organizując stowarzyszenia, uczestnicząc w niezliczonych konferencjach. Podczas wojny, ze zwykłą sobie żarliwością, bierze czynny udział w pomocy dla ziomek, przez wojnę pokrzywdzonych, organizując dzieło pomocy dla bezrobotnych; organizuje również wymianę listów między krajami wojującymi.

Wreszcie, gdy Traktat Wersalski powołuje do życia Ligę Narodów, p. Forchhammer, w towarzystwie dwóch swych siostrzy: p. Wicksell—Szwedki i Fru Bonnevie—Norweżki—zostaje delegowana przez rządy



Palais des Nations w Genewie



Henni Forchhammer

do Zgromadzenia Ligi Narodów. Odtąd zasiada w każdym Zgromadzeniu i referuje sprawę handlu kobieta-

mi i dziećmi, podnosząc między innemi sprawę nie-ludsko pomordowanych ormian, nieszczęśliwych kobiet i dzieci ormiańskich i greckich w Azji Mniejszej. P. Forchhammer była pierwszą kobietą, przemawiającą w tym parlamencie świata. Pracuje ona, jako członek komisji 5-ej (spraw kobiet i dzieci) oraz 2-ej (higieny).

Pozatem podróżuje po całej Europie, organizując odczyty o Lidze Narodów i kwestjach kobiecych.

Sprawą ormian zajęła się również Fröken Jeppe, również danka. Życiorys jej czyta się, jak romans: Córka wiejskiego nauczyciela, pokonywa niesłychane przeszkody dla zdobycia okrucieństw wiedzy. Pod wpływem odczytu o okrucieństwach kurdów i Turków i niedoli kobiet i dzieci, decyduje się jechać i osobiście nieść im pomoc. W tej młodej dziewczynie duńskiej było gorące serce, które wiodło ją w obce i dzikie strony. W starożytnej Edesie młoda dziewczyna przeobraża się w dzielnego i sprężystego organizatora. W krótkim czasie z Domu i Szkoły dla Sierot Armeńskich, a więc instytucji filantropijnej, czyni zakład, finansowo wystarczający, przez założenie plantacji i warsztatów hafciarskich. Po wybuchu wojny i nowej fali pogromów ormiańskich p. Jeppe organizuje w Aleppo pomoc dla kobiet i dzieci, i głos jej, która tyle widziała niedoli kobiet, więzionych w haremach i w namiotach nomadów, został wysłuchany przez Ligę Narodów. Razem z amerykańnikiem, Dr. Kennedy, weszła w skład komitetu, który przed forum Ligi Narodów opowiedział o krzywdach i cierpieniach narodu ormiańskiego. (dok. n.)

Marja Sunderland

SAMOWYSTARCZALNOŚĆ KOBIECY ZAROBKUJĄCEJ



Jak więzień, wypuszczony na swobodę, tak wciąga świeże powietrze w płuca, że się niem aż zachłystuje — tak i kobieta dzisiejsza, wyzwolona przez warunki ekonomiczne z więzów konwensu, nieraz nadużywa swobody, upajając się nią, jak winem. Niekoniecznie w znaczeniu erotycznym. Przeciwnie, mam wrażenie, że stale zajęta, wiecznie gdzieś śpiesząca, kobieta współczesna znacznie mniej uwagi poświęca miłości, niż jej romantyczne, a beczynne prababki, babki i matki. I kto wie, czy nie to właśnie ściągają na nią gromy, rzucane przez naszych panów, chcących pod tołą prokuratorską ukryć bolesne zadraśnięcia ambicji pa-

nów i władców stworzenia. Mnogość zajęć, jakie uprawia kobieta współczesna, jest wprost imponująca. Na każdym kroku spotyka się kobiety, łączące pracę zarobkową i poważne studia naukowe, uczęszczające „dla rozrywki” na kursa sanitarne, lub filmowe, uprawiające przytem gimnastykę rytmiczną, plastyczną, lub obie, znajdujące jeszcze czas na życie towarzyskie i pracę społeczną. Potrafią nawet, już niewiedomo, kiedy, wychodzić za mąż i mieć dzieci, które bardzo starannie wychowują, i to bez bony, bowiem na podobny zbytek większość inteligentnych rodzin stanowczo dziś nie stać.

W tej zachłannej ciekawości kobiety współczesnej, w tej chęci wykorzystania wszystkich możliwości

życia, przejawia się może nadmierny apetyt istot długo głodzonych, lecz niema w tem absolutnie nic niezdrowego, czy zdrożnego. Dekoncertuje to jednak mężczyzn, gdy spotykają swe poważne i obowiązkowe towarzyski pracy porannej w sali balowej, lub restauracyjnej, przedzierzgnięte w rusałki i driady. Podobnie dziwi i przeraża dzieci wyklucie się z poczwarki tęczowego motyla. Choć przecie nikogo nie dziwi i nie razi poważny profesor, złotousty mecenas, lub doktor—europejska sława medyczna—odstawiający wieczorem swą powagę i sławę do kąta, jak stary parasol, i opowiadający dykteryjki, i tańczący, i bawiący się z młodzieżą—z całą niefrasobliwością, jaką daje poczucie spełnionego obowiązku. Dlaczegożby kobieta—uczony, kobieta—prawnik, kobieta—lekarz miała być skazana na noszenie niewygodnego nimbu powagi przez całe życie i wykluczona z zabaw swych rówieśnic?!

Kobieta pracująca ma takie samo, ma większe prawo do rozrywki, niż każda inna. Do [rozrywki i związanego z nią stroju. O pierwszych emancypantkach, które uważały za stosowne,—na dowód duchowego wyzwolenia,—robić z siebie straszdyła na wróble, wspomina kobieta współczesna z uśmiechem nieco rozrzewnionym, lecz pełnym politowania. Dziś żadna kobieta zrównoważona nie zechce wypowiadać swych poglądów,—czy to politycznych, czy społecznych,—zapomocą szaty zewnętrznej.

Ostatecznie, najlepszy interes na emancypacji kobiet zrobił mężczyzna. Ma towarzyszkę życia równie uroczą, równie elegancką, jak dawniej, znacznie inteligentniejszą... i nic go to nie kosztuje. Troska o utrzymanie żony spadła mężowi z głowy, wydatki domowe są ponoszone wspólnie. Ba, ileż znam małżeństw, w których zredukowanego męża praca żony ratuje od głodowej śmierci! Zdawałoby się, że niema powodu do niezadowolenia. Skądże ten grymas ironiczny, to mówienie z przekąsem o kobiecej pracy, ta niechęć i nieufność do pracowników rodzaju żeńskiego, te kwasy i dasy wobec powiększających się zarobków żony?

Oto mężczyzna nie czuje się już niezbędnym wie, że ta słaba kobieta, tyle wieków wisząca bezczynnie na jego męskim ramieniu, dziś może iść sama w świat i nie zginie. Nieraz nawet ośmiela się z nim współzawodniczyć i, o zgrozo! zwyciężać.

Literatura zachodnia obfituje w utwory, osnute na podobnych konfliktach. Z tych, dzięki teatrowi; Ćwiklińskiej, poznaliśmy zabawną, lecz jakże prawdziwą historję „Mecenasa Bolbec'a i jego męża“, teraz „Bluszcz“ uprzystępnia szerszemu ogółowi misterne załamany psychiki kobiet pracujących, mistrzowsko podpatrzone przez Colette Yver. Jednak najlepszy, najżywiej uchwycony utwór, opisujący tragiczną rywalizację zawodową dwojga zakochanych, śmiertelne

starcie dwóch niezłomnych ambicji, naglejsza i najbardziej bezwzględniejsza analiza współczesnej miłości — to: „Levis et Irène“ Pawła Moranda, wydana przed trzema laty w przekładzie redaktorki naszej, Stefanji Podhorskiej-Okołów, przez „Bibliotekę Dzieł Wyborowych“ i, niestety, całkowicie wyczerpana.

Dziś jedynym łańcuchem, wiążącym kobietę do mężczyzny, pozostaje miłość. Odpadają wszelkie podejrzenia o interesowność, małoduszny strach przed walką o byt. Kobieta, która zarabia, mówi do mężczyzny lojalnie:—Dałabym sobie radę bez ciebie: byłoby mi nawet lżej i łatwiej, bo nie krępowałyby mnie twoje grymasy i zazdrości; ale ja cię kocham i chcę iść przez życie z tobą; być ci siostrą, kochanką, przyjacielem, wytchnieniem i opieką w chwilach znużenia i słabości. Zrobię to kosztem rezygnacji z niejednej ambicji, z wielu marzeń — wszystko dlatego, że cię kocham. — A mężczyzna? Niejednokrotnie żałuje dawnych, dobrych czasów, kiedy to panna musiała wybierać między małżeństwem, a klasztorem, i wolała drzeć całe życie przed mężem i panem, niż, jako stara panna, być przedmiotem ogólnego pośmiewiska i dożywotnim ciężarem rodziny. Niezależność materialna kobiety nie przestaje być solą w męskim oku, i dlatego, pełen uprzedzającej uprzejmości, wersalczyk z salonu staje się surowym i nieubłagany szefem, znacznie więcej wymagającym od urzędniczek, niż od ich męskich kolegów.

Z urażonej męskiej ambicji wypływa ten ironiczny, z gruntu nierycerski, stosunek kolegów do koleżanek w wyższych uczelniach, szykany profesorów względem pilnych i pojętnych słuchaczek, lekceważące à priori zachowanie się uczniów tam, gdzie wykładowczynią jest kobieta. A jednak, mimo wszelkie naturalne i sztucznie przed nią spiętrzane trudności, kobieta konsekwentnie wywalcza sobie coraz nowe placówki pracy. Coraz częściej spotykamy małżeństwa, w których żona zarabia więcej, niż mąż. Wówczas, srodze dotknięty pan i władca, nie śmiejąc otwarcie wystąpić przeciwko źródłu poważnych dochodów, wszczyna wojnę podjazdową: dom jest zaniedbany, dzieci opuszczone, on sam nie ma nikogo, ktoby mu zreperował ubranie, przyszył guzik i t. d.

I trzeba całej genialnej intuicji, jaką niektórym kobietom daje miłość, aby dla ocalenia spokoju męża a tem samem i szczęścia rodzinnego, umieć pomniejszyć własne zasługi. Znałam kobiety, pogodne i utalentowane, mistrzowsko kierujące nawa bytu i dobrobytu rodzinnego, które potrafiły wmówić swym mężom, że one nic nie znaczą, że gdyby nie oni, mężowie, nicby nie potrafiły, nic nie zdołały. A panowie i władcy, mile polectani w swej męskiej próżności, godzili się na pracę swych żon i nawet raczyli łaskawie korzystać z jej owoców. Nie wszystkie, jednak, kobiety potrafią się zdobyć na podobną pokorę, bowiem naturalnym owocem każdego rodzaju pracy,

uprawianego z zamięłowaniem, jest zdrowa ambicja zawodowa i zrozumiała potrzeba dzielenia się swoim triumfem z człowiekiem najbliższym. Nie przewidują, że ten triumf może go zranić boleśnie, bowiem przyzwyczajono go do myśli, że jedynym źródłem ambicji żony może być mąż, że wszelkie tej ambicji zadowolenia mogą na nią spłynąć jedynie przez niego.

Nie wynaleziono dotąd lekarstwa na miłość. Nie jest niem również uniezależnienie materialne kobiety, ani jej praca zarobkowa, ani jej zawodowa ambicja. Natomiast stanowią one bardzo poważną asekurację życiową na wypadek braku miłości. Obecnie,

kobieta, którą miłość ominie, zawiedzie, lub opuści, nie będzie wprawdzie istotą szczęśliwą, ale i nie będzie również owym smętnym rozbitkiem życiowym, jakim były w podobnej sytuacji jej matki i babki. Znajdzie i poza miłością godny siebie cel życia, źródło zaspokojenia swych życiowych ambicji i wyładowania energii. Jej racja istnienia nie kończy się, jak dawniej, z pierwszą zmarszczką i pierwszym siwym włosem. Do głębokiego dramatu kobiety opuszczonej nie dołącza się tragifarsa targów o alimenty, bowiem kobieta, która zarabia, jest samowystarczalna i od miłości nie chce nic, prócz miłości.

W. L.

M. H. SZPYRKÓWNA

O KROPLE WODY



Nie mogę zapomnieć tych umęczonych oczu skatowanego zwierzęcia w twarzy, która gaśnie. Nie mogę zapomnieć tych rąk, które podnoszą się i opadają w pół drogi, niemocne podnieść ogromu swojej krzywdy, aby ją pokazać dalekiemu Bogu. Jakże kannibalskie warunki mamy tu, obok, zaraz w mieście, w obrębie naszej Wielkiej Warszawy!

Pojechałam któregoś dnia na Wolę, czy na Ochotę, czy w jakie inne nożownicze okolice rogatkowe, bo tak się właśnie złożyło. Mogę to uważać za wstęp do podróży zagranicę, którą planuję: jeździć, to jeździć: i tam, i tu są kraje nieznane, a tu bodaj jeszcze mniej znane, niż tam. Wiem, czego, mniejwięcej, mogę się spodziewać w Szwajcarii, a czego — we Włoszech. Ale naprzykład, do głowy mi nie przyszło, że na Ochocie, czy na Woli, mogę się spodziewać znaleźć — nie osławionych nożowników, bo była to dwunasta w nocy, — a kobietę, która umiera, a która w domu nie ma... wody. Bo w Wielkiej Warszawie, na Woli czy na Ochocie domy są nieskanalizowane i po wodę trzeba iść o trzy ulice stamtąd, do wodociągu. I jeśli ktoś iść nie może, a sąsiadka już śpi, czy nie da, to można na Woli, jak na pustyni Saharze, oglądać w gorączce wspaniałe miraży kranów wodociągowych, z których się leje czysta, nie zatęchła, autentyczna woda, w dowolnych ilościach, którą dobry Magistrat, w postaci anioła w mundurze, pompuje dobrotliwie wprost w nadstawiony dzban.

Nasi przodkowie przedhistoryczni, którzy nie umieli jeszcze przechowywać cennego napoju, a skradali się na wodopój po trudnych wertepach, musieli w ten sposób sobie wyobrażać, — o ile byli marzycielami, — przyszłą utopję świata: woda, która wytryska

wprost w usta ze ściany pieczary; kozioł, którego można zabić każdej chwili, nie polując, i inne fantastyczne nieprawdopodobieństwa.

Mój Boże. Cóż wiemy o Woli?

Cóż wiemy, czy taki dżentelmen, z nożykiem w cholewie, nie marzy sobie chwilami sentymentalnie, czekając za parkanem na lekkomyślnego turystę po wolskich palestynach, o czemś prawie podobnem? Że, naprzykład, nie będzie musiał dźwigać co ranka po kilkakroć dziurawem wiadrem, z którego ucieka woda, teje wody z pod wodociągu z trzeciej ulicy? A jego żona — o tem, że będzie jej miała wreszcie tak dość, iż będzie mogła pozmywać zbytkownie statki, szorować w miarę potrzeby okna i stoły, umyć się samej, wyprać pieluchy małemu, a kto wie — w chwilach zbytku — czy i nie poumywać dzieci?!

Zdawałoby się, że to żart — a oto jest to najdziwniejsza prawda. I mówi się tu o higienie, i stawia się tu warunki takie, siakie, owakie, etyczne i estetyczne, patriotyczne i polityczne...

Na miły Bóg! Co traci taki obywatel, oglądający niebo przez dziury dachu, a własny dobrobyt przez dziury na łokciach, — przy takim, czy innym ustroju? Gorzej — trudno, więc może będzie lepiej. On ma iść na śmierć za Ojczyznę? On ma zachowywać dziesięć przykazań boskich i pięć kościelnych, strzec się siedmiu grzechów głównych: łakomstwa, obżarstwa i nieczystości?!. On, który cały jest wielkim, głównym, najgłówniejszym i niedopuszczalnym grzechem wobec Boga i ludzi, popełnianym przez gromadę?!

Więc może być w Warszawie wałęsa się rudera nad nieskanalizowanym i cuchnącym rynsztokiem, a w niej kobieta, która umiera na jednym łóżku, a na drugim śpi dwoje dzieci, z których żadne nie udźwignie nawet kubła do wody. I ze szpitala ją odesłali

do domu, bo był obcowyznaniowy, a ona beznadziejna i trzeba było ją dysponować na śmierć? I kwadrans tramwajem stamtąd jest „Perskie Oko” i kino „Casino” i „Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami”? I wspaniały Magistrat stołecznego miasta Warszawy, który jest gmachem dużym i chodzi z trudnością, i zapewne dlatego nie odbywa spacerów na złą opinią cieszącą się Wolę, czy Ochotę? I o kwadrans drogi stamtąd jest tak dużo wody — wody zwykłej, wody sodowej, wody, podrobionej pod wino i mleko warszawskie, i wody w pojękach patryjotycznych i mowach inauguracyjnych, „programowych” najrozmaitszych władz — gdzie długo i szeroko przez radja i megafony mówi się o tem, jak to ślicznie będzie w Warszawach wielkiej, małej i najmniejszej? Za ich, tych właśnie, a nie innych programowców — rządu?!

„Quousque tandem, o Katilina?!” I dokądże tak będzie, prześwietny sądzie? I dokądże będzie tak, że przeciętny dorożkarz w Finlandji ma cztery pokoje, linoleum w kuchni i telefon, oraz radjo, a u nas przeciętny inteligent...

„Passons outre!” — jak mawiała na swym procesie Joanna d’Arc, kiedy temat nie nadawał się do roztrząsania. Przejdźmy i pomińmy! Obyż dla nowoobраниch ministrów, magistratów, rad miejskich i wszelkich innych świetności: stało się obowiązującym paragrafem nie bankiet w Bristolu, czy Europie, a — wycieczka zbiorowa na Wolę, Ochotę, Muranów, czy inne Powiśle! Oby minister — nomina sunt odiosa, — ale, powiedzmy: Minister Przyzwoitości Publicznej — zwiedził mimochodem na dworcu Wiedeńskim, i każdym, nietylko pokoje reprezentacyjne, ale i... toaletę. O tych, poślednich zresztą, ubikacjach relacje cudzoziemskie są obfite i pełne podziwu: podobnego niechlujstwa u siebie nie widują i przykuwa to magnetycznie ich uwagę, jako objaw najrdzenniejszy polski. Czyli, jak mówiła pewna angielfka po francusku o jednym z naszych lepszych hoteli:

— C’est cher, c’est poli, mais ça sent trop mauvais!

Co za szczęście (dla mężczyzn, rzecz prosta,) że kobiety w Polsce nie są jeszcze prezydentami, ani kraju, ani miast! Że nie są, zresztą, nawet sędziami. Nie śmiem powiedzieć, jak pogładowe metody wprowadziłabym, gdyby mnie, broń Boże, wybrano w sferę, władzę mającej! W każdym razie stosowałabym metodę amerykańskich milionerów: synowie ich muszą przechodzić praktykę fabryczną w zakładach ojca od najniższego robotnika, ażeby wiedzieli zczasem, czem rządzą i co dają, a czego wzamian za to wymagać mogą. Myślę, że gdyby nasze władze dobrze wiedziały, co dają: możeby wymagały mniej. — Albo, vice ver-

sa — możeby usiłowały natomiast więcej dawać: bodaj kanalizację i wodę nawet... dla Woli i Ochoty!

Uniosły mię „rzeczy wspólne”, słowami Skargi. A teraz — o kobiecie.

Kobieta była w ciąży. Nie wiedziała, że dziecko już w którymś tam miesiącu umarło. Zaczęła pochowywać. Wezwała „babę”. Baba była mądra i знаła się na prawie: powiedziała, że tu już nie pomoże nic, „bo już się na wnątrzu pani cała zagniła”. Kazała iść do szpitala. Operacja. Beznadziejna, bo gangrena w całej pełni. Nasze szpitale nie mają miejsca dla beznadziejnych, bo i gdzieżby szli ci, których jeszcze da się uratować? (A kina i kawiarnie rosną, jak baby wielkanocne, i jakoś to idzie.) Wróciła do domu. Gorączka czterdzieści stopni. — Nikt nic nie wie, nikt pomóc nie umie. I oto leży sobie w tej nieskanalizowanej sielance, pokrajana, obolała, nieprzytomna i zżarta przez zgniliznę i gorączkę. A wodę trzeba ciągnąć z trzeciej ulicy, a wody tej trzeba furami, żeby robić okłady, żeby prać szmaty, pościel, bieliznę, wszystko, bo dwoje drobiazgu oddycha wciąż tem samym zatrutem powietrzem, gdzie woda czernieje natychmiast po zwilżeniu gorących od żaru gorączki szmat!

Moi drodzy! Nie znam się na rzeczach społecznych i nie jestem organizatorką. Piszę książki i czasem — artykuły na tematy doraźne, jak ten. Ale wiem, przecież, że mamy jakieś stowarzyszenia, opieki, pomoce, dobroczynności. Nie idzie mi o tę właśnie kobietę, bo nią się zaopiekowano, i dlatego tam byłam. Idzie mi o sto innych — z Woli, czy Muranowa, z Solca, czy Ochoty. Idzie mi o straszne dzielnice, gdzie na ulicę wychodzą tylko ślepe parkany, jakgdyby za niemi kryło się coś, na co bezpieczniej jest nie patrzeć wcale. Czy jest ktoś, gdzieś, jakoś, żeby taka matka mogła się poradzić, zanim „zagnije we wnątrzu”? Coś dla prostych kobiet, dla robotnic, dla najuboższych, którym jednak także rodzą się przecież dzieci, i to zwykle w ilościach większych? I kto to jest? Jak się nazywa? Jaki jest jego adres, i jak daje o sobie tym nieskanalizowanym i bezwodnym dzielnicom znać? Kto się zajmie na czas choroby dziećmi, żeby nie oddychały trucizną i nie patrzyły na agonję? Jakie są sposoby, aby umęczonym oczom, które umierają, powiedzieć na ostatku jakieś pewne, pocieszające słowo, że ten drobiazg nie zginie? Do kogo wołać o kanalizację i wodę, jako o czynnik nie miłosierdzia już nawet, ale obrony przed zarazą? Co robią dla naszych najniżej stojących kobiet te, które stanęły najwyżej — u szczytu stanowiących prawa? Nie wiem, nie znam. Rzucam tylko te pytania. Siostry społeczniczki, odpowiedźcie!



FRYDERYK SZYLLER

2

DON KARLOS INFANT HISZPAŃSKI

Przekład dla Teatru Narodowego w Warszawie I. K.-Młakowiczówny

POSA:

Nigdy się nie śmiało spodziewać, że Francję losy ograbią z jedyne klejnotu, któregośmy siłą podziwu całą jej zazdrościli.

KRÓLOWA:

Jedyne? I to powiadasz wać mnie, która Wależjusz córka jestem? Czy nie nazbyt dumnie?

POSA:

gotowem kajać się. Lecz, Najjaśniejsza Pani, jakże się gniewać możesz, będąc, gdyśmy twoi dziś poddani, pierwszą z hiszpanek.

KRÓLOWA:

Czy podróż Waszmości miała przebieg gładki, bezpieczny? Przez Francję jechałeś; czy od matki mojej czcigodnej i od drogich braci listów mi nie przywiozłeś?

POSA: *(podając jej listy)*

Zmęczonej postaci i twarzy jest królowa matka; wciąż chorzeje i jedną tylko z tych doczesnych ma nadzieję, że jej dostojna córka na hiszpańskim tronie jest szczęśliwa.

KRÓLOWA:

Jakżeby nią nie miała być, gdy dotąd żywa pamięć o bliskich, gdy jeszcze kwitnie naksztalt róży pamiątka godzin, które... Margrabio, w podróży widziałeś tyle krajów, przygód, ludzi, zabaw świata... Mówiono mi, że osiąść chcesz w ojczyźnie teraz i przez lata całe już nie wyjeżdżać, że w zamku swego kamiennej osłonie trwać myślisz sam, wolniejszy niż król Filip, mój małżonek, na sam z filozofją. Wątpię, rycerzu dostojny, czy stolica spodoba ci się. Madryt jest bardzo spokojny, tak, bardzo.

POSA:

Spokój, to zaleta przecie; nigdzie go w Europie, nigdzie na tym świecie zazwyczaj niema.

KRÓLOWA:

Tak mi serce mówił Ja sama nie pamiętam już, co się tam mrowi na świecie.

(do księżniczki Eboli).

Widzę werbenę uśmiechniętą mile. Księżniczko, proszę mi ją zerwać.

KSIĘŻNICZKA:

(oddala się w kierunku trawnika).

KRÓLOWA: *(ciszej do margrabiego).*

Czy też się nie mylę. Margrabio, sądząc, że przyjazd Waszmości nie tylko jednej mnie posłużył ku radości u dworu?

POSA:

Znalazłem tu smutek śmiertelny który pocieszyć może jedynie...

KSIĘŻNICZKA:

(wraca z zerwaną werbeną).

Niech dzielny rycerz Zakonu Malty, który tyle rajów nam obcych zwiedził, dziś coś ciekawego o nich opowie.

POSA:

Jednym z rycerskich jest to obyczajów gonić przygody; to znów z najświętszego obowiązku rycerza wynika, że broni zawsze dam.

MARGRABINA:

Tak, przeciwko zakusom olbrzyma lecz dziś znikli olbrzymi.

POSA:

Kto słabego osłoni od przemocy, ten olbrzymów zwalczył, choć ich dziś już niema

KRÓLOWA:

Rację ma Wasza Mość. Margrabino, chociaż świat się karli, olbrzymi jeszcze są, tylko rycerze wymarli.

POSA:

A jednak... Kiedym wracał z Neapolu, niedawno to było, zdarzyło mi się przeżyć historję zawiłą, rozczulającą bardzo. Mniejsza o nazwiska. Przyjaciół mój wmieszany był w to, rzecz więc zbliżona obeszła mię. Jeśli cierpliwa Monarchini, pozwalając mi jeszcze zostać, nie obwini mię o gadulstwo...

KRÓLOWA:

Mogęż nie zezwolić Ciekawość mej księżniczki nigdyby przeboleć nie mogła tego ciosu. Wszystkieśmy tu młode i powieści łakome,

POSA:

W Mirandoli dwa rody szlachetne, długo z sobą poróżnione, jeszcze od Gwelfów i Gibellinów datujące właśnie postanowiły pogrześć. Tak wypadło właśnie, że po kwitnącej jednej latorośli los zdarzył z każdej strony. Fernando, piękny jak bóstwo, starego, bogatego Piotra siostrzeniec, miał za obustronnem błogosławieństwem rodów śliczną Matyldę [w ślubny ustroić wieniec.

Nikomui nie ubliżę, niczyjej czci nie umniejszę, twierdząc, że nigdy serca dwa ani lica nie były piękniejsze. Własną wiedzeni chęcią i świata całego zgodą, czekali z drżeniem, rychło li ich jedno do drugiego przywiodą, aby się poznać mogli. Fernand mój biedny ni razu wybranej swej nie oglądał, znał ją jedynie z obrazu, i w Padwie, gdzie kończył studja, palił się i żył w niepamięci

czasu, w oczekiwaniu, aż Bóg jego płomień uświęci,
aż wolno mu będzie o słodczy portretu we wcieleniu jego się
[przekonać,
aż będzie mógł u stóp Matyldy wyrazami miłości na ustach
[zapłonąć.

KRÓLOWA: (poczyna słuchać uważniej)

POSA:

(przez chwilę milczy, poczem opowiada dalej w taki sposób, że — o ile to
jest w obecności królowej możliwe — zwraca się raczej do księżniczki
Eboli)

Wtem nagle bogacz Piotr wdowieje. Dochodzą doń gadki
o piękności Matyldy. Mimo wieku, wartki,
pełen młodzieńczych ogni starzec jedzie ją oglądać.
Poznać ją i pokochać, widzieć i pożądać
było mu śnać sądzone; na lata niebaczny,
niepomny, że wobec siostrzeńca czyn spełnia dwuznaczny
co najmniej, jedna sobie rodziców, krewnych, niczem się nie zraża
i bez zwłoki Matyldę wiedzie do ołtarza.

KRÓLOWA:

Cóż na to Fernando?

POSA:

Na skrzydłach pragnienia.

poganiany tęsknotą, śpieszy... Ani cienia
podejrzeń, ani jedna doń nie doszła plotka...
Konno więc do Mirandoli, przez ukryte wrotka,
znane mu, wpadł przed pałac.. Widzi w oknach blaski
tysiąca lamp, wiwaty słyszy, pijane wrzaski
ogromnej ciżby gości. Błade — muzyka
popędza wzwyż po stopniach schodów, jak grzesznika
rozpaczy; wchodzi w tłum niepoznanany
przez nikogo... I nagle — jakby poprzez ściany
widzenie, zjawia — przy uczcie, górującego nad zebranych kołem,
stryja spostrzega z ubranym w strój oblubienicy aniołem,
z najpiękniejszą wśród pięknych, ze słodczą bez zmazy...
I poznał Fernand postać i twarz, które razy
tyle oglądał i całować nie śmiał nawet we śnie...

KSIEŻNICZKA:

Płakałam... Kawalerze, och, jakże boleśnie
cierpiał nieszczęsny!

KRÓLOWA:

Lecz dziś już nie cierpi więcej;
dziś już wszystko skończone wierzę najgoręcej,
margrabio, że skończone, nieprawdaż?

POSA:

Hiszpanji, nieskończoności!

KRÓLOWA:

nie masz droższego nadeń przyjaciela?

POSA:

Nie mam droższego człowieka na świecie.

KSIEŻNICZKA:

Piotra nam nie skończyłeś jeszcze, kawalerze.

Wesela

POSA:

Kiedy to smutne, że aż niechęć bierze
kończyć opowieść... Jakbym świeżą ranę
potrafił.. Nie dopowiem, wybaczenie.. (ogólne milczenie)

KRÓLOWA: (zwraca się do księżniczki)

Czy dane

nareszcie będzie mi córeczkę moją miłą
uścisknąć. Pójdź, księżniczko, po nią.

(Księżniczka wychodzi. Margrabia daje znak Paziowi, który ukazuje się
w głębi i zaraz znika. Królowa rozpieczętowała listy, oddane jej przez
margrabiego, i zdaje się być zdumiona ich treścią. Tymczasem margrabia
rozmawia pocichu i z wielkim naciskiem z margabiną Mondecar)

KRÓLOWA:

(skończyła czytać — zwraca się badawczo do margrabiego)

Cóż za mało było

w powieści mowy o Matyldzie. Ona
może nie wie, że ten Fernando cierpi?

POSA:

Niezgłębiona

dotąd materja ta. Lecz jeśli ton dostojny
tej duszy — cierpi milcząc,

KRÓLOWA:

Waszmość jakiś niespokojny.

Rozglądasz się?

POSA:

Więc skoro mię spojrzenie
zdradziło, wyznam, że rozmyślał, jak ktoś, kogo nie wymienię,
byłby szczęśliwy, na mem miejscu będąc.

KRÓLOWA:

Waszmość drwiny stroił

A któż jest winien mu, że tu nie stoi!

POSA: (żywo przerywając)

Jakto, więc mogę słowa te dowolnie przetłumaczyć?
Będzie mu przebaczona śmiałość?

KRÓLOWA (ze strachem)

Co to znaczyć

ma? Jakto, teraz! tu?!

POSA:

Więc nie napróżno

cierpiał?

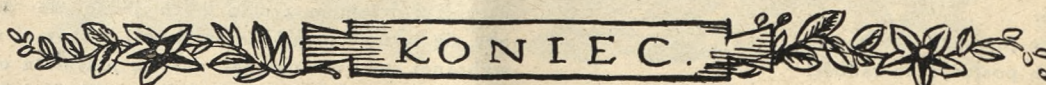
KRÓLOWA: (z rosnącym przerażeniem)

Margrabio, boję się! Zabierzcie go stąd!

POSA:

Oto on! zapóźno!

(Wchodzi don Karlos)



W. MIŁASZEWSKA

KACZĘTA

(powieść)

25 marca.

Tak się złożyło, że akurat dziś zajrzałam do tej szkatułki. Rano pojechaliśmy z Adelcią na grób, jak to zawsze w rocznicę. Mój Boże! Aż mi się wierzyć nie chce, że tyle czasu minęło. Ot, piętnaście lat siostrunia moja w ziemi spoczywa, Antosia droga, a tu — jak z bicia trzasł ot, i dzieci wszystkie porosły! Już nie dzieci, bo i Marek przecie piętnaście lat wczoraj skończył, a taki wysoki chłopak wyrósł z tego chuchka! O Adelci nawet nie mówię. To już całkiem dorosłe pannisko. W tym roku pensję ukończy. Edukacja, jak się patrzy... Oj, moja Antosiu, moja Antosiu! że też nie doczekałaś, że też się nacieszyć nie możesz widokiem twoich dzieciaków!

Marek, jak Marek. Herkulesem nigdy nie był, bo to i zawczasie urodził się — i potem na butelce... Ale Tomek, ale Staś, ale Adelcia! Tomaszowi wasy nie na żarty podrosły. Żeby nie te wasy i żeby nie Teofila nos, byłaby wykapaną Antosia...

Straszna mię żalność dziś rozpiera; od samego rana, jak tylko wstałam, rady sobie dać nie mogę. A jakeśmy z Adelcią przy sobie klękły i jakim na ten mój wianuszek w szklanym pudełku spojrzę, to mi wszystko w oczach stanęło, zupełnie, jakby nie piętnaście lat, ale i piętnaście dni nie minęło.

Ten wianuszek papierowy i pudełko z szklanym wieczkiem wtedy aż 12 rubli kosztowały. Co tam — myślałam sobie — niechże będzie drogo, przecie to dla mojej siostruni. A teraz to się nacieszyć nie mogę, że to wtenczas kupiła. Bo proszę: bibułka wyblakła, prawda, ale zawsze poznać można, że kwiatki, że róże, a pudełko, chociaż zardzewiało po wierzchu, szczelne... Wilgoć tylko od boków pozachodziła, a i to niewiele. I leży sobie na tym grobie tyle lat...

Pan Bóg wie, co czyni, prawda, ale czasem, to się powstrzymać nie mogę i myślę, że przecie mógłby pozwolić, żeby Antosia pożyła jeszcze i z dzieci doczekała się pociechy. Taką młodą zabrał ją Bóg... I cztery zostawiła sieroty, nie licząc męża i siostry stroskanej, co po niej płacze dotychczas... Byłoby tego drobiazgu pięcioro, gdyby Julisia krup nie zgładził. Pięcioro dzieci! Miała rację pani Klimaszevska, że kobietę zamęczyły dzieci... Pamiętam dokładnie jej słowa. Mówiła tak:

— Niech się pani nie gniewa, panno Justyno, ale ten pani szwagier, to istny kat! Zobacz pani, że Antosia tak długo nie pociągnie! Kto widział coś podobnego?!.. Czworu dzieci, rok po roku, że ani dnia ując, a teraz słyszę, znowu...

I właśnie w połogu, przy tem piątem, umarło biedactwo. Już z samego początku widzieliśmy, że źle. Długi czas pokwiewała Antosia, a w końcu położyła się do łóżka na dwa miesiące. Doktor mówił: „będzie z tego bieda”. I różne tam nawet rady dawał. Ale Antosia się uparła: „nie” — powiada — „i nie”! Wstała z łóżka, ale chodziła po domu, jak ta mucha jesienna. Próbowwała coś robić, szyć, cerować... Oho! widziałam ja dobrze!.. niech tylko pomyśli biedactwo, że jest sama i nikt na nią uwagi nie zwraca: ręce na kolana opuści i siedzi bez ruchu, bledziutka, z takim wyrazem boleści na twarzy, że mi się serce krajało... Wtedy tom jeszcze nie mieszkała u nich, tylko na Wilczej, ale przecież załatwiałam ciągle dowiedzieć się, jak i co.

No — i dowiedziałam się któregoś dnia ładnych rzeczy!

Przychodzę, (pamiętam, był to ranek, dwudziestego marca w sobotę) aż tu w domu rwetes, gwałt! Teofil nie poszedł do zajęcia, tylko biega po całym mieszkaniu i wszystkich wypytuje:

— Będzie doktor? Kiedy doktor przyjdzie?

Ze mną się ledwie ledwie przywitał i zaraz do drzwi poleciał, bo właśnie zadzwonili. Dopiero od nianki dowiedziałam się piąte przez dziesiąte, że Antosia...

Chryste Panie! Jakby mi kto obuchem dał w głowę. Widocznie już wtedy przeczułam, jak to się skończy. A trzeba trafu, że nawet poprzedniego dnia była jakby zdrowsza i nawet śmiała się razem z nami... Tak, mówiliśmy coś o imionach dzieci, a Antosia nagle śmiać się przestaje i do Teofila na ucho, ale tak, że słyszałam każdziutką literę:

— Ten, to musi być Marek.

Pamiętam, że Teofil się nawet z początku oburzył, że niby skądże znowu Marek, dlaczego Marek?

— Zresztą — powiada — skąd ta pewność, że to będzie właśnie Marek, a nie Markowa...

A wtedy Antosia, nawpół z uśmiechem, ale tak jakoś rzewnie:

— Musi być chłopiec, bo to za Julisia...

I zaraz potem dodała:

— A ja tak proszę, żeby się nazywał Marek. Mój Teofilu, już niech będzie Mareczek... Mój złoty!

A nazajutrz taka bieda! I urodził się ten Marek w cztery dni potem. Już sama nie wiem, jakim to cudem się stało, że on wyżył, bo i doktor głową nad nim kiwał litośnie, i z wody ochrzciliśmy go sami, na gwałt, bo się zdawało, że to chuchro godziny nie

przeżyje... Tymczasem — przeżył. I Antosia nazajutrz umarła, a on żył, choć tak ledwie, ledwie, pomaleńku, jakby to życie kołatało się w nim od niechcenia.

Co to za drobiazg został po tej Antosi! Jeden Tomasz za trumną [szedł z ojcem, bo już miał wtedy pięć lat... Staśka na rękę niosłam, a kucharka z ma-lutką Adelcią w domu siedziała, przy Marku...

Jakem wtedy rankiem do nich przyszła, tak się nie ruszyłam przez całą chorobę Antosi, a i potem...

Powiedział Teofil:

— Justysia u nas teraz zostanie?

To i zostałam. Co było robić... A ikoło Marka chodząc ktoś musiał starannie, butelki z mlekiem grzać, pilnować, żeby miał zawsze ciepłe i na porę...

Zostałam. Ot, moje życie było już wtedy tak, jakby skończone. Właśnie się pan Kazimierz ożenił...

Et! Co ja tu wyciągam takie stare dzieje! A to wszystko przez to, że na grobie Antosi dziś była, a potem do tej szkatułki zajrzałam...

Sama nie wiem, skąd mi to do głowy przyszło... Stało to szkatulisko spokojnie w kuferku tyle, tyle lat... Zaraz... Trzydziestkę dawno przeszłam, jak Antosia umarła, a pan Kazimierz się właśnie na rok przedtem ożenił. Tak! To tamto już zgórą dwadzieścia lat! Zgórą! Ożenił się z córką wędliniarza. Bóg jeden wie, co czułam w sercu, a przecież życzyłam im szczęścia z głębi duszy, skoro już tak... Jak zaczęły chodźć słuchy, że ona istna sekutnica, szczerze mi żał było pana Kazimierza. Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby to był zły człowiek, i ja nijakiego żalu do niego nie czuję. Ot, los chciał, że ja nie miałam posagu, a jemu widać tych pieniędzy bardzo było potrzeba, skory ich aż u córki wędliniarza szukać musiał...

Czy ja zgłupiałam na stare lata? Włosy siwe, a tu androny po głowie się tłuką!

A to wszystko przez tę szkatułkę. Jakem ją wy-dostała z kufra, zrazu nic. Patrę, patrę na maho-niowe wieczko, potem kluczyk wolniutko przekręcam... nic. Zauważyłam, że wewnątrz aksamit trochę wy-blakł i tyle... Aż tu nagle, ni stąd ni zowąd, jak mię coś nie chwyci za serce! Jak mię nie szarpnie!.. Jak nie zadławi w gardle!.. Chryste Panie!

Na samym wierzchu leżał ten dzienniczek, róż-ową wstążeczką na krzyż związany... To mi tak za-raz wszystko w pamięci stanęło, jak żywe, jakby to wczoraj było, a nie tyle, tyle lat temu...

Wstążeczką miałam związane warkocze na tym wieczorku u ciotki, gdzie właśnie poznałam pana Kazimierza. Miałam wtedy sukienkę białą muslinową w groszki, ślicznie różyczkami wdole poupinaną. Niedarmo w magazynie pracowałam u ciotki: nauczy-łam się bukieciki wiązać, a nieraz, to tak zręcznie w mig zwinęłam girlandę, że aż się klientki nadzi-

wić nie mogły... Adelcia nie lubi, jak ja ten magazyn wspominam. Mówi:

— Nie ma się ciocia czem chwalić!

A właśnie, że mam, bo wtedy i między ludźmi potrafiłam się obrócić, i ładnych parę groszy do do-mu przyniosłam... A jak mi było dobrze, jak wesoło żyć... Ha, młoda byłam! Młodość to się cieszyła we mnie i radowała z życia!..

Ale co to ja chciałam? Bo już mię i pamięć od-biegła trochę. Właściwie, to całą tę pisaninę zaczęłam z jedną myślą. Już wiem: więc jakem zobaczyła ten dzienniczek, pisany w latach młodości najpierwszej, tak, przez cały szereg bardzo szczęśliwych lat — to sobie pomyślałam: dobrzeby wrócić do starego prz y jaciela!

Czemu nie mam zapisywać w nim, jak dawniej, wszystkiego, co mi się przydarzy?

Wprawdzie niewiele mi się ciekawych przygód trafia, zwłaszcza teraz, kiedy po całych dniach albo drepę po domu, albo naprawiam chłopcom bieliznę, albo w tych przeklętych ogonkach wystaję... Ale zawsze coś napisać można...

A ten dzienniczek, to był przecież mój serdecz-ny, jedyny przyjaciel, powiernik myśli najsłabszych...

Ile to leż kapnęło na jego kartki, zwłaszcza pod koniecl..

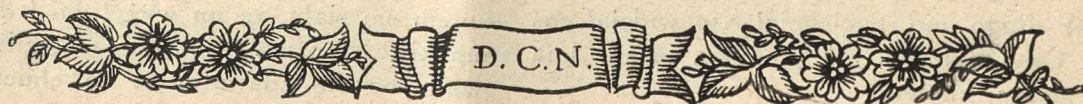
Mój Boże mocny, jak to dziwnie pomyśleć! Przecież był czas, kiedy ja miałam ośmnaście, dwa-dzieścia lat, kiedy śmiałam się częściej, niż płakałam, i wszystko mi się w życiu zdawało takie jasne i we-sołe, ot, jak liście na wiosnę...

Staś mię nieraz nazywa „romantyczką“ i wy-śmiewa się ze mnie, że niby lata mijają, a „senty-mentem odemnie zalatuje, aż w nosie kręci“. Może to i prawda...

Staś, to urwis i ladaco straszne, ale kochany chłopiec. On mi nieraz coś takiego powie, że mię aż w duszy zaboli, ale wiem, że to język jego wi-nien, nie serce, że chłopczyśko starą ciotkę kocha, chociaż jej nieraz dotnie do żywego...

Inaczej z Adelcią. Adelcia zawsze była układna, grzeczniutka, zwłaszcza dla ludzi... Et, nie chcę wię-cej pisać. To tak zaczynam ten dzienniczek? Prze-czytałby kto i pomyślał sobie: „wyrzeka stara ciotka na swoich siostrzeńców“... A to nieprawda! Kochane, drogie dzieci, i lepszych ze świecą nie znajdziesz... Jeden Mareczek mię niepokoi, że na zdrowiu czasem zapada. Że i matka nie była Herkules, jak się Ma-rek miał urodzić, to skąd on miał tych sił nabrać?

Oj, moja Antolko, Antośko najmilsza! Że też cię Pan Bóg do chwały Swojej o jakie 20 lat później nie powołał! Ha, wola niebios, ale że byłoby lepiej i dzieciom, i Teofilowi, i mnie, to pewne...



J. CONRAD

15

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatariewiczowej

— Duch, tutaj! — zawołał rozśmieszony profesor, — wobec tego należałoby zrewidować pogląd na psychologję duchów. Wyspa ta była niezamieszкана od początku świata, jakim więc sposobem duch dostał się tutaj: powietrzem, czy wodą? czemu opuścił swe rodzinne strony? czy pchnęła go do tego mizantropja? czy też został może wypędzony z jakiegoś społeczeństwa duchów?

Renouard usiłował mu odpowiedzieć tym samym tonem, lecz słowa zamierały mu na ustach. Profesor pytał dalej, czy to duch mężczyzny, czy kobiety?

— Nie wiem — odparł Renouard, siłąc się na swobodę.

— Między robotnikami jest paru z wyspy Tahiti: tam wierzą w duchy. Oni to nastraszyli wszystkich. Prawdopodobnie przywieźli ze sobą tego ducha.

— Możebyśmy to zbadali — zaproponował profesor nawpół poważnie. — W każdym razie moglibyśmy zrobić interesujące obserwacje nad umysłowością tych pierwotnych ludzi.

Tego było nadto Renouard'owi. Podniósłszy się, wyszedł z pokoju i zaczął się przechadzać przed domem. Nie dopuści do tego, aby go zmuszono do wyjawienia prawdy. Profesor wyszedł za nim, uzbrojony w parasol, lecz bez książki i fajki. Z poważną poufalością położył rękę na ramieniu swego „kochanego młodego przyjaciela.”

— Wszyscy tutaj jesteśmy nieco zdenerwowani — rzekł. — Co do mnie, jestem, jak owa siostra Anna z bajki o Sinobrodym, ale nic nie mogę dojrzeć na naszym horyzoncie, a przynajmniej nic takiego, coby było dla kogokolwiek z nas pomyślne.

Renouard odzyskał panowanie nad sobą o tyle, że mógł obojętnym tonem wyrazić żal nad taką stratą czasu; przypuszczał, bowiem, iż to przedewszystkiem miał profesor na myśli.

— Strata czasu — powtórzył za nim filizof — ja nie rozumiem, co to znaczy tracić czas. Drogi panie, powiem panu szczerze: to jest okropne marnowanie życia — dla nas wszystkich, nawet dla mej siostry, którą głowa rozboleła i musiała pójść się położyć.

Ścisnął Renouard'a zlekka za ramię.

— Tak, dla nas wszystkich. Można rozmyślać nad życiem bez końca, można mieć o niem jaknajgorsze wyobrażenie, lecz to nie zmieni faktu, że życie mamy tylko jedno! I to krótkie. Zastanów się nad tem, mój młody przyjacielu! •

Puścił ramię Renouarda i, otwierając parasol, wyszedł z cienia. Widocznem było, że myśl miał za-

przątniętą nie samym tylko terminem swych odczytów, przeznaczonych dla wykwintnej publiczności. Co chciał wyrazić przez te niejasne komunały? Dla Renouard'a, który, nastraszony rano przez Luiza, czuł, że nie mogłoby mu się przytrafić nic gorszego, jak wyjawienie jego oszukaństwa w inny sposób, niż przez osobistą spowiedź, słowa, wypowiedziane przez człowieka, jak mu się zdawało, bardzo subtelного, a cynicznego, brzmiały jak zachęta, lub jak ostrzeżenie. Zdawało mu się, że umarły go zmusza, a żywy zachęca do postawienia wszystkiego na jedną kartę.

Oddaliwszy się nieco od domu, położył się w cieniu drzewa. Leżał bez ruchu z czołem opartem o skrzyżowane ramiona i rozmyślał z głową dziwnie pustą. Zdawało mu się, że jest w ogniu, potem, że się dostał w wir lodowatej wody, która z zawrotną szybkością kręciła się dokoła niego. Wreszcie (prawdopodobnie było to wspomnienie z dzieciństwa) zdało mu się, że idzie po cienkiej tafli lodu i nie może się cofnąć; nagle lód pękł od brzegu do brzegu z głośnym, niby wystrzałem, trzaskiem.

Zerwał się na nogi. Wokoło panował spokój i cisza, świeciło słońce. Oddalił się powoli. Gdyby lubił ryzykować, podniecałaby go gra sama, lecz pogardzał zawsze tą parodią walki z losem. Ujrzał nagle bungalow jasny i miły, dookoła panowała cisza, spokój, świeciło słońce.

Kierując się ku domowi, miał przykre uczucie, że tuż obok niego kroczy Duch zmarłego! Był wszędzie, tylko nie w swym grobie. Czy pozbędzie się go wreszcie? W tej samej chwili panna Moorsom ukazała się na werandzie. Widok jej jakby działał za pomocą tajemniczych promieni, wzburzył natychmiast serce Renouard'a zmieszał niebo z ziemią — lecz nie powstrzymał go jednak. Wówczas, jak pieśń wśród burzy, rozległ się głos jej i przejął go złem przeżuciem.

— Panie Renouard!

Zbliżył się do niej z uśmiechem, lecz ona patrzyła na niego poważnie.

— Nie mogę dłużej usiedzieć na miejscu. Czy zdążylibyśmy dość do przylądka i powrócić, nim noc zapadnie?

Długie cienie kładły się na ziemię, dookoła panowała cisza i spokój.

— Nie zdążymy — odparł Renouard i czuł się tak niezłomnym, jak skała. — Lecz zaprowadzę panią na środkowe wzgórze, na którym ojciec pani jeszcze nie był. Widać stamtąd nieskończoną przestrzeń mo-

rza, rozbryzgującego się o rafy i kłębiące się ponad niem chmury morskiego ptactwa.

Zeszła po stopniach werandy i ruszyli natychmiast.

— Niech pani idzie naprzód, a ja będę panią kierował. Teraz na lewo.

Ubrana była w krótką nankinową spódnicę i muslinową, przezroczystą bluzkę, przez którą dostrzegał jej barki i ramiona; szlachetna linja jej szyi napęlała go zachwytem.

— Ścieżka zacznie się od tych trzech palm, jedynych na całej wyspie.

— Widzę je.

Nie odwróciła się ani razu. Po chwili zauważyła:

— Ścieżka robi wrażenie świeżo wydeptanej.

— Tak, wydeptano ją niedawno — potwierdził cichym głosem.

Wdrapywali się pod górę, nie zamieniwszy już ani słowa; gdy doszli do szczytu, panna Moorsom długo patrzyła przed siebie. Dalsze rafy ginęły we mgle wieczornej, pełzającej nisko. Ponad tą przestrzenią chaotycznych i melancholijnych skał, podobnych do szczątków flotyli wysp, na tle nieba zwijały się i rozwijały ciemne wstęgi tysiąca ptaków; gromadziły się wśród chmur, wzbijały się ku górze, a gdy opadały, zdawało się, że są to cienie, gdyż zwysoka głos ich nie dochodził na wyspę.

Renouard przerwał milczenie cichym głosem:

— Za chwilę usadowią się na noc.

Nie odrzekła ani słowa. Dookoła nich panowała cisza zachodu. W pobliżu, najwyższa skała na Malacie, przypominająca kształtem szczyt zagrzebanej wieży, wznosiła się ku górze, wyszczerbiona, szara i jakby znużona monotonnym biegiem stuleci na Oceanie Spokojnym. Renouard oparł się plecami o tę skałę. Felicja Moorsom zwróciła się nagle ku niemu i utopiła czarne, piękne oczy w jego twarzy, jak gdyby postanowiła go wreszcie raz nazawsze ujarzmić. Olśniony, spuścił wzrok.

— Panie Renouard, wszystko to takie dziwne. Niech mi pan powie wreszcie, gdzie on jest?

Odparł jej bez namysłu:

— Z tamtej strony tej skały. Sam go tam pochowałem,

Obiema rękami schwyciła się za piersi i po chwili, z trudnością chwytając powietrze, zawołała:

— Och! Pochował go pan! Co za człowiek z pana!.. Nie śmiał się pan przyznać!.. Jeszcze jedna ofiara!.. Nie śmiał się pan przyznać owego wieczoru... Pewnie go pan zabił! Co on zawinił? Pewnie wciągnął go pan w jakąś kłótnię!..

Jej mściwa postać i głos przejmujący nie poruszyły go bardziej, niż skałę, o którą był oparty. Pod-

niósł tylko oczy, aby spojrzeć na nią i spuścił je z wolna. Nic więcej. Lecz ona zamilkła i, jak gdyby zawstydzony się, zrobiła ruch ręką, odsuwając tę myśl od siebie.

Zaczął mówić zrazu ze spokojną ironją:

— Ha! Legendarny Renouard, tak jak go sobie wyobrażają sentymentalni głupcy: — Bezlitosny awanturnik—ludożerca. To był głos papugi, panno Moorsom! Największy głupiec z pośród tych, co tak o mnie mówią, nie ośmieliłby się twierdzić, że zabiłem kogoś bez powodu. Zauważyłem tego człowieka w pewnym hotelu. Powiedziano mi, że przybył ze środka kraju i że nie ma zajęcia. Siedział w kącie samotny, jak chory kruk. Pewnego wieczoru przemówiłem do niego, choć nie był zbyt interesujący, budził poprostu litość. Największy mój wróg zaświadczyłby pani, że człowiek ten nie był godnym stać się moją ofiarą. Wkrótce spostrzegłem, że się narkotyzował — nie pił, nie, — używał może morfiny, czy innego narkotyku.

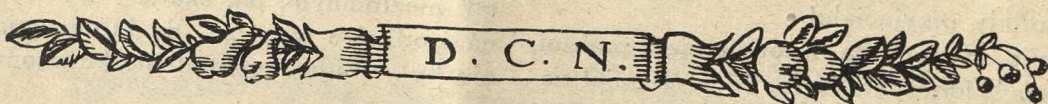
— Ach! Teraz usiłuje go pan zamordować! — zawołała.

— Znowu! Zawsze pani widzi Renouard'a w świetle legendy filistrów! Niechże więc pani posłucha! Nigdy nie byłem zazdrosny o niego, choć zazdroszczyć powietrzu, którem pani oddycha, ziemi, po której pani stąpa, światu całemu, na którym pani żyje, wolna, ale nie moja. Lecz nie o to chodzi. Był mi raczej sympatyczny; pod jakimś pretekstem zaproponowałem mu, aby został moim pomocnikiem. Zdawało mu się, jak sam twierdził, że to go uratuje, lecz nie uratowało go od śmierci, którą spowodował drobny wypadek. Poślizgnął się i spadł z wysokości dziesięciu stóp w rozpadlinę. Zdaje się, jednak, że poprzednio był już chory, od czasu, gdy przebywał wewnątrz kraju; bodaj, że go koń uderzył. Odtąd już stale niedomagał, nie miał, bowiem, zdrowia, a i dusza jego zdawała się być chorą. To też koniec nastąpił szybko.

— Tragiczny los! — szepnęła Felicja z przejęciem. Wargi Renouard'a zadrżały, lecz ciągnął dalej głosem równym i bezlitosnym.

— Taka jest jego historia. Pewnego wieczoru zrobiło mu się nieco lepiej i dał mi znać, że chciałby mi coś powiedzieć. Uważając mnie za gentlem, chciał mi się zwierzyć. Odpowiedziałem mu, że się myli, bo choć on o tem nie wie, ja mam naturę plebejusza. Zdaje się, że było to dla niego rozczarowaniem. Mruknął coś o swej niewinności i coś, co brzmiało, jak przekleństwo, skierowane ku jakiejś kobiecie; poczem odwrócił się do ściany... i skonał.

— Przeklinał jakąś kobietę! — zawołała panna Moorsom, — co za kobietę?



Kobieta w świecie i w domu

ŚMIERĆ PANNOMI

We Francji przed wielką rewolucją tylko kobieta, szlachetnie urodzona, posiadała prawo do tytułu „dame”, — mieszczańska, nawet zamężna, przez całe życie pozostawała „demoiselle”.

Od kilku lat feministki walczą o to, aby każda kobieta — po wyjściu z lat dziecięcych — była tytułowana panią, a nie panną. Dla ogółu kobiet reforma owa nie będzie posiadała ważniejszego znaczenia, przyjmą ją jednak z radością stare panny i niezamężne matki.

W Danii inowację taką zaczęto już wprowadzać w życie i wyraz „panna” zniknie niebawem ze słownictwa duńskiego.

I słusznie. Wszak chłopcom, nawet kilkunastoletnim, mówi się nieraz; „panie”, obecnie i dziewczynki będą tam tytułowane zupełnie poważnie: „paniami”.

W Danii istnieje mnóstwo starych panien. Czyż nie miło im będzie, gdy zaprzestanie się im przypominać ciągle o tem, że nie wyszły za mąż? Wszak nie wszystkie uczyniły to dobrowolnie. A możeby i u nas wprowadzić taki zwyczaj?

POKŁOSIE Z PISM KOBIECYCH

Miesięcznik francuski „Le droit des femmes” donosi o śmierci pani J. Bertheroy, utalentowanej powieściopisarki. Pani Bertheroy była członkiem i dzielną uczestniczką prac Komitetu honorowego francuskiej Ligi dla praw kobiety.

Ze szpalt wyżej wymienionego miesięcznika dowiadujemy się o śmierci słynnego antropologa Leona Manouvrier. Był on pierwszym uczonym, który poświęcił się studjom i pomiarom mózgu kobiecego i doszedł do przekonania, że mózg kobiecy w swojej budowie, proporcjach i konsystencji w niczem nie ustępuje mózgowi naszych dumnych, a zarozumiałych braci.

Interesujący i ruchliwy dziennik bułgarski „Vesnik na Żenata” (Dziennik Kobiety) komunikuje, że w Belgji, podczas ostatnich wyborów komunalnych, cztery kobiety zostały obrane merami.

To samo pismo przynosi wiadomość, że w Uniwersytecie Liverpoolskim pierwsza kobieta, Miss Essthell Gertrud, otrzymała dyplom doktora weterynarii.

W tygodniku „La voix des femmes” czytamy, że p. Soumé Tcheng, pierwsza adwokatka chińska, została mianowana prezesem sądu w Szangaju.

Dowiadujemy się z radością, że świetna poetka włoska Ada Negri i znana powieściopisarka Matylda Serao zostały przyjęte w poczet członków Akademii Włoskiej.

W Akademii Szwedzkiej miejsce zmarłej Ellen Key zajęła znakomita powieściopisarka Selma Lagerlöf.

W Niemczech pierwszą kobietą, mianowaną członkiem Akademii, jest p. Ricarda Huch.

Mrs. Sidney Web, ekonomistka i reformatorka społeczna w Anglii, otrzymała dyplom doktora honoris causa w uniwersytecie Monachijskim.

R. C. H.

MARGUERITE ANDOUX

Z powodu ostatniej książki Marguerite Andoux p. t. „De la ville au moulin”, pisma podają następujące szczegóły niezwykle ciężkiego i pracowitego życia tej pisarki. Marguerite była córką ubogiego cieśli, — mając trzy lata, utraciła rodziców i została umieszczona w domu sierot. Tam nauczyła się zaledwie czytać i pisać. Gdy skończyła lat dziesięć, włożono na nią obowiązek opiekowania się najmłodszą dziaćką w Zakładzie. W czternastym roku życia słabą i delikatną Marguerite umieszczono w Sologne, jako pasterkę owiec. Dziewczynka przy dozorowaniu swojej trzódki miała wiele czasu, poświęcała go też niemal w całości czytaniu książek, które znajdowała na strychu pewnego starego domu. Zaledwie podrosła, spadła na nią ciężar wychowania małej córeczki swojej zmarłej siostry. Marguerite wywędrowała wówczas wraz z dzieckiem do Paryża, gdzie zarabiała na życie szyciem i praniem. Dzięki zbiegowi okoliczności, zajęcie otrzymywała wyłącznie wśród

sfer literackich. Pomimo ciężkiej pracy, przyszła literatka znajdowała codziennie czas, aby pisać pamiętnik. Żony literatów, dla których Marguerite szyla suknie, zainteresowały się młodą i dzielną dziewczyną i w roku 1910 pomogły jej wydać pierwszą jej powieść p. t. „L'Atelier de Marie-Claire”. Od tego czasu życie Marguerite Andoux potoczyło się łatwiej. Autorka obecnie cały czas swój poświęca studjom i pisanii. Powieści jej we Francji cieszą się wielką popularnością.

KOBIETY W POWIETRZU

W końcu maja r. b. pani Elliott-Lynn i lady Bailey ustanowiły nowy rekord wysokości dla awionetek (lekich aeroplanów). Panie te wzniosły się na wysokość 16.000 stóp i pozostawały w powietrzu przez dwie godziny i 33 minuty.

Pani Elliott-Lynn, pilotka, w wywiadzie, udzielonym po wlocie dziennikarzom, oświadczyła, że postawiła sobie za zadanie spopularyzowanie dla lokomocji awionetek, które są szybkie, wygodne i bezpieczne, a dzięki swojej niskiej cenie, będą niebawem równie dostępne dla kupna, jak niewielkie samochody. R. C. H.

WRESZCIE ZAPROTESTOWAŁY...

Od paru lat, odkąd modna sylwetka pani zaczęła coraz bardziej stawiać się szczupłą i wysmukłą — utarł się oryginalny dość zwyczaj w najmodniejszych restauracjach angielskich: oto kelner, podając modnie ubranej damie zamówioną potrawę, przynosił zazwyczaj pół porcji, co nie przeszkadzało, że rachunek wynosił tyle, ile kosztuje cała porcja.

Wreszcie panie się połapały...

Wszystkie stowarzyszenia londyńskie kobiece wystąpiły z energicznym żądaniem zniesienia tego zwyczaju, bo aczkolwiek niewiasty pragną i nadal zachować „linję”, robią to jednak bez zbytecznej opieki panów restauratorów, zbierających nota-bene z tego pomysłu pokaźne zyski do swych kieszeni.

CO MÓWI BERNARD SHAW O KOBIECIE...

Któż z nas nie słyszał coś-niecoś o tym „strasznym angliku”, który nic innego nie robi, tylko wszystkim wszędzie dokucza, podpatruje śmieszne, słabe strony trzeźwych synów Albjonu (sam jest z pochodzenia irlandczykiem) i kpi niemiłosiernie z wad narodowych, z rządu, z osób wysoko urodzonych, z arystokratycznych dam itd. itd.

Pomimo takiego zachowania się, pisarz ten jest niezwykle popularny w Anglii i sprawia wielką sensację, jeżeli da się wkońcu przebłagać i występuje publicznie podczas jakiejś uroczystości.

A już jeżeli raczy przemawiać!

Co prawda, z panem Bernardem nigdy niewiadomo, jak się sprawa skończy: może nagać tyle przykrych rzeczy, że niewiadomo, właściwie, jak się zachować...

Ostatnio, straszny ten anglik został zaproszony przez pewne stowarzyszenie kobiece, aby przemówił na walnym zebraniu fundacji przytułków dla bezdomnych kobiet...

Odważne, zaiste, niewiasty z tego T-wa, jeżeli się nie ulęknęły wpuścić wilka pomiędzy biedne owieczki!

P. Shaw przyjął niespodziewanie zaproszenie, zjawił się osobiście na zebranie (powiadają, że w gabinecie jego siedzi lalka-manekin à la Shaw i podaje grzecznie rękę wszystkim odwiedzającym, tudzież kiwa potakującą głową na długie wywody gości); tym razem p. Bernard przybył sam i przemawiał.

Po całym szeregu dowcipnych przyczynków na temat... stroju kobiecego, zakończył swe przemówienie następującymi słowami:

„choć moda współczesna zmieniała suknie niewieście, ludzie są jeszcze dawnych poglądów, utrzymując, że kobieta jest jakimś tworem specjalnym...”

Świat nie doszedł jeszcze do zrozumienia prawdy: że kobieta jest tylko żeńską odmianą tego samego gatunku ludzkiego.

Co się zaś tyczy wydajności pracy, a szczególnie w zawodzie literackim, zapewniam, że kobieta jest tem samem, co i mężczyzna!

Dziwię się, że pomysł budowania przytułków dla kobiet bezdomnych dotychczas nie został wprowadzony w życie; witam więc ten fakt z całym uznaniem i życzę jaknajpomyślniejszych skutków!

Można sobie wyobrazić, jak „szalały” z radości organizatorki fundacji, tembardziej, gdy straszny ten człowiek złożył 100 funtów szterlingów z własnej kieszeni na budowę przytułku noclegowego!

H. S.

LIGA DOBROCI

Paryska „Liga dobroci“, mająca na celu niesienie pomocy wszystkim nieszczęśliwym, opuszczonym i spragnionym, promyka miłości ludzkiej, urządziła „tydzień dobroci“, który rozpoczął się w Paryżu dn. 12 czerwca.

Jednym z najpiękniejszych momentów tej wysoce humanitarnej imprezy był koncert w „la Petite Roquette“, więzieniu dla nieletnich przestępców. W więzieniu tem stosowany jest niezwykle surowy regulamin. Nieszczęsne, zwyrodniałe dzieci, których do zbrodni niejednokrotnie popchnęła nędza, lub też fatalne wychowanie, odsiadują karę, zamknięte w osobnych celach.

16. b. m. o g. 3-ej młodociani więźniowie zostali wprowadzeni do olbrzymiej sali, podzielonej przepierzeniami na maleńkie komórki. Każdy zajął swoje miejsce.

Popłynęły głębokie, natchnione tony sonaty Haendla, w wykonaniu skrzypiec, organów i wiolonczeli. Słuchacze, zrazu niesforni i gotowi do drwin, powoli zapadali w zadumę. Twarzyczki poważniały, oczy spoglądały łagodnie. Z kilku cielek dały się słyszeć łkania. 13-letni chłopiec, który 2 dni temu w obronie matki zabił własnego ojca, krzyknął spazmatycznie i zalał się łzami.

Czar muzyki działał na młode serca i budził w nich lepsze, uśpione uczucia. Wszystkie dzieci, głęboko wzruszone, w uroczystym milczeniu opuszczały salę.

R.C.H.

WIELKA NAGRODA ELEGANCJI W PARYŻU

Biedne midinetki paryskie, bladziutki „Mimi Pinson“, z pokłutemi od igły paluszkami, mają sensację nielada. P. Leonard Rosenthal, właściciel jednego z najwytworniejszych w Paryżu magazynu jubilerskiego, t. zw. popularnie „Król Pereł“ powziął doskonały projekt, który jeszcze „wciągu bieżącego lata będzie urzeczywistniony.

Otóż corocznie, nazajutrz po rozegraniu Grand Prix na wyścigach w Longchamp, w paryskim Grand Palais będzie przyznawana „Wielka Nagroda Elegancji“, w wysokości 50 tys. franków.

Do konkursu będą stawały tylko „célebsités“ paryskie, jako to: uznane piękności, sławne artystki, gwiazdy filmowe itp.

Tualeta jednej z tych pań, uznana przez plebiscyt publiczności za najpiękniejszą, otrzyma wyżej wymienioną nagrodę. Pieniężny tych nie dostanie, oczywiście, uroczą zwyciężczyni konkursu, tylko Atelier, w którym toaleta jej była wykonana, a raczej pracownice w owem Atelier. Suma 50 tys. franków będzie podzielona na 50 tysiącfrankowych premij dla 50 najbardziej wyczerpanych pracą midinetek, które nazajutrz po konkursie będą mogły rozpięchnąć się po słonecznej Francji i zaczerpnąć czystego powietrza nad morzem, w górach, czy też lasach swojej pięknej Ojczyzny.

Zwyciężczyni konkursu otrzyma emblematyczną nagrodę w postaci klejnotu, który w roku przyszłym przekaże swojej następczyni.

„Le Grand prix d'Elégance“ rozegrano już w roku bieżącym 28 czerwca.

R.C.H.

DZIEŃ KOBIET P. P. S.

Warszawski wydział kobiecy P. P. S. zorganizował w dniu 20 Czerwca r. b. „Dzień Kobiet“, mający na celu zmanifestowanie stanowiska kobiet pracujących.

Obchód odbył się w gmachu Cyрку, przystrojonym w kwiaty i emblematy P. P. S. Wnętrze Cyрку wypełniło się tłumem, liczącym 7 tysięcy osób, przeważnie kobiet. Milicja P. P. S. utrzymywała porządek na sali i przed gmachem Cyрку.

Akademję zagała pos. Zofia Praussowa, na honorową przewodniczącą Zebrania powołano p. Teresę Perlową, wdowę po niedawno zmarłym pośle na Sejm, F. Perlu. Radna, Stanisława Woszczyńska, wygłosiła przemówienie, podkreślając w niem zadanie kobiet w walce o urzeczywistnienie postulatów robotnic i wzywając kobiety do najwydatniejszego poparcia ruchu socjalistycznego w Polsce.

Następnie został odczytany list sędziwego nestora polskiego socjalizmu, sen. Limanowskiego.

Część koncertową Akademii wypełniły produkcje artystyczne, poczem uformował się pochód ze sztandarami, transparentami, na których widniały hasła „Dnia Kobiet“, żądania opieki nad matką i dzieckiem, ubezpieczeń społecznych, zrównania płac za pracę kobiecą, i t. p. Pochód, po przedefilowaniu przez miasto, udał się przed lokal O. K. R. w Alei Jerolimskiej, gdzie po przemówieniach posła Jaworowskiego i Kowalewa zakończone zostały uroczystości „Dnia Kobiet“.

R.C.H.

UCZCZENIE ZASŁUG Ś. P. MARJI DULĘBIANKI

Ś. p. Marja Dulębiana, malarka i niestrudzona działaczka społeczna, jest jedną z najbardziej jasných i zasłużonych postaci kobiecych w Polsce.

Ur. w r. 1862, ukończyła studia malarskie pod kierunkiem Gersona, poczem studjowała w Paryżu, gdzie w r. 1900, podczas Wystawy Powszechnej, za prace swoje została odznaczona „mention honorable“. Po ukończeniu studiów artystka przeniósła się na stałe do Lwowa, gdzie po życiu, pełnem pracy i poświęcenia, zmarła w r. 1919.

Jednak nie artystyzm stanowi główne prawo Marji Dulębianskiej do wdzięcznej i zaszczytnej pamięci wśród rodaków, a jej niezmordowana, dzielna praca dla sprawy kobiecej. Prosta, skromna, nie wymagająca niczego dla siebie, była ona wytrwałą bojowniczką o udział kobiety w pracy społecznej, nie jako współzawodniczką, ale jako równorzędną współpracowniczką mężczyzny.

Lwów, miasto, umiejące zachować w serdecznej pamięci swoje zasłużone dzieci, dn. 12 Czerwca r. b. złożył hołd Jej pamięci uroczystą Akademją, urządzoną staraniem Komitetu Obywatelskiego.

Przypomniano na niej niespożyte zasługi Zmarłej. Ona to była założycielką Zw. równouprawnienia kobiet, Komitetu obywatelskiej pracy kobiet, delegatką kobiet polskich dla ratowania jeńców i zakładników w walce z ukraińcami, inspektorką w Urzędzie Lwowskiej Opieki Generalnej nad dziećmi, długoletnią redaktorką pisma „Głos Kobiety“, i t. p.

Staraniem polskiego T-wa Opieki nad grobami bohaterów, ciało Marji Dulębianskiej zostało przeniesione na Cmentarz Obrońców Lwowa.

Cześć Jej pamięci!

R.C.H.

ZJAZD STOWARZYSZENIA ZJEDNOCZONYCH ZIEMIANEK

Program tegorocznego Zjazdu Stow. Zjedn. Ziemianek obejmował referaty o działalności kół, zarządu, wydziałów i sekcji.

W rozprawach uwydatnił się znaczny postęp pracy we wszystkich kierunkach, szczególnie zaś — w gospodarczym i wychowawczym.

Prócz szkół gospodarczych w Mirosławicach, Nałęczowie, Marysinie, znaczną działalność wykazały kursa instruktorskie w Rudzie Czechowskiej, koło Puław, gdzie wyszkolone instruktorki prowadzą kursa gospodarcze dla gospodyń, trwające od 3 dni do 6 tygodni. W b. roku sprawozdawczym na kursa te uczęszczało 3800 słuchaczek.

W zakres prac S. Z. Z. wchodziły: hodowlany, ogrodnictwa, przetworów owocowych, pszczelnictwa, jedwabnictwa i wiołnictwa. Nad prowadzeniem ich czuwają sekcje, wykazujące coraz większą ruchliwość.

Sekcja drobiu nap. posiada 42 stacje zarodowe, które w roku b. dostarczyły hodowcom 6,500 jaj.

Sekcja ogrodnictwa wyprodukowała 1000 klg. nasion, oraz rozszerzyła swój dział grzybny, propagując hodowlę pieczarek. Zarząd S. Z. Z. dąży do oparcia gospodarstwa na zasadach rachunkowości. W tym celu na Zjeździe przyjęto wniosek ogłoszenia konkursu na prowadzenie przez rok rachunkowości, według obranego wzoru.

Zjednoczone ziemianki rozwijają usilną działalność w dziedzinach społecznych i wychowawczych, czuwając nad odpowiedniem ustosunkowaniem się Stowarzyszenia do każdego nowego zagadnienia społecznego.

Na Zjeździe omawiane były również kwestje reformy szkolnej, sprawy samorządu, rozwodów i ślubów cywilnych.

Niezmiernie interesującym momentem Zjazdu było sprawozdanie delegacji S. Z. Z. z XIII-go międzynarodowego Kongresu Rolniczego w Rzymie, złożone przez pp. Glinczyńską i Czarnowską.

Na Kongresie tym, który w r. b. sprowadził 1000 delegatów z całego świata, poraz pierwszy wystąpiła, zawiązana z inicjatywy polki, p. Grzybowskiej, sekcja pracy kobiecej. Główny referat owej sekcji otrzymała polka, p. Z. Jankowska, przewodn. komisji zagranicznej Rady Nacz. S. Z. Z. Tematem jej referatu było wykształcenie gospodarcze kobiet całego świata.

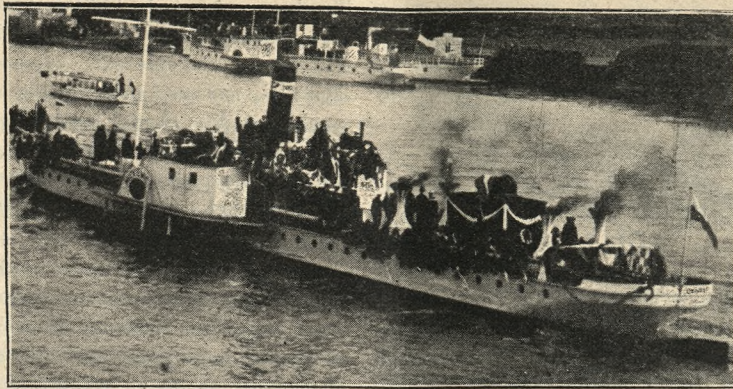
Pod względem organizacji gospodyń wiejskich w świecie Polska stoi na 5-tym miejscu, łącząc w 789 kołach 25,800 kobiet.

Z polskich uczestniczek Kongresu wygłosiły jeszcze referaty pp. H. Dernałowiczowa, E. Czarnowska i de Lago. Prasa włoską podkreśliła je z uznaniem.

Z obrad Kongresu wynika, że polki, pod względem pracy kulturalnej, nie pozostają tyle za siostrami swemi z Zachodu. Niechże Europa dowiaduje się o tem, choćby z kongresów.

R.C.H.

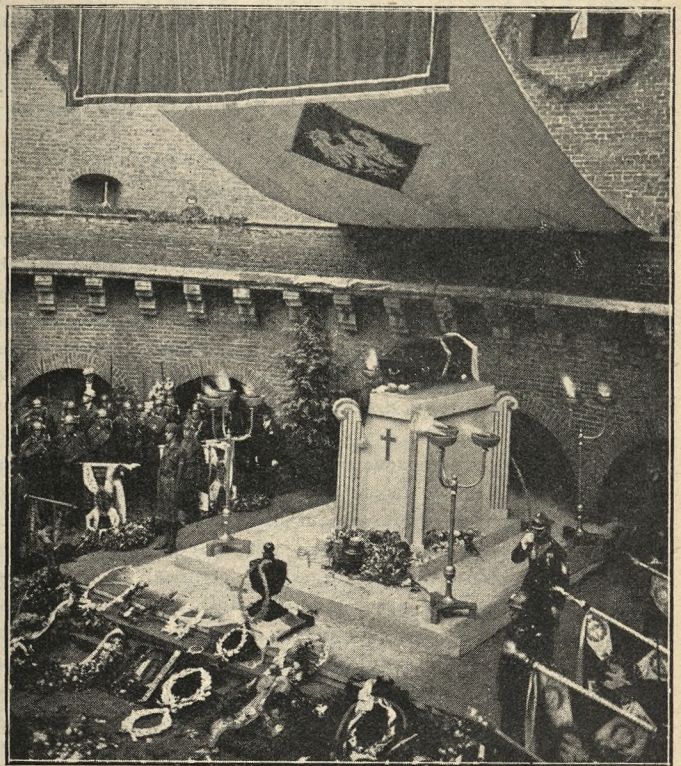
Statek „Mickiewicz” wiozący trumnę z prochami Wieszczki Wisłą do stolicy Polski, przy-



biła do przystani. Na statku płoną znicze na około trumnę.



Trumna Wieszczki na purpurowym łożu rusza z przystani przy moście Księcia Józefa w Warszawie.



Złożenie prochów wieszczki w katedrze na Wawelu. Chwila pochylenia sztandarów przed trumną wieszczki w Barbakanie.



Srebrny wieniec od literatury polskiej niesie delegacja w składzie następującym: Leopold Staff, Zofia Nałkowska, Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Jan Lechoń i Orłowski.



Przedstawienia uroczyste dla uczczenia powracających do ojczyzny prochów Juliusza Słowackiego.

Teatr Narodowy: „Księżę Niezlomny”, tragedia Słowackiego, według Calderona de la Barca. Układ sceniczny i reżyserja Juliusza Osterwy. Dekoracje Wincentego Drabika. Muzyka Adama Dołżyckiego.

Teatr Polski: „Samuel Zborowski”, poemat dramatyczny Juliusza Słowackiego. Układ sceniczny L. S. Schillera. Tekst podług wydania Artura Górskiego, opracowali Wilam Horzyca i L. S. Schiller. Część muzyczna w układzie Bronisława Rutkowskiego. Dekoracje i kostjumi Stanisława Śliwińskiego.

Wieczór Słowackiego na Starem Mieście: Fragmenty z „Księdza Marka” i z „Kordjana”.

* * *

Wszystkie uroczyste przedstawienia, związane z obchodami narodowymi, są z natury rzeczy dziedzicznie i urzędowo obciążone kłutą patosu, Bo i jakże mogłoby być inaczej? Wybiera się przede wszystkim na ten cel sztuki jaknajwnioślejsze, gdzie niejednokrotnie głębia myśli i polot natchnienia zwycięsko przytłaczają teatr. Inscenizuje się wybrane dzieło z wyjątkowym pietyzmem, opracowuje z godną uznania precyzją; robota koronkowa, pełne kultu traktowanie tekstu prowadzi do rozwlekania tyrad i dIALOGÓW przez nadmierne szafowanie pauzami i synkopami. Aktorzy, nieprzyzwyczajeni do mówienia wiersza, nieobcy z romantycznym mistycyzmem, błakają się poomacku w labiryncie bezcennych skarbów, niejednokrotnie podnosząc na światło błyskotkę stylową, zamiast prawdziwego klejnotu myśli. Reżyserja ratuje sztukę i aktora, pchając i jedną i drugich na wzdęte fale patosu. Kurtyna idzie w górę; wszystko: dekoracje, światła, kostjumi, muzyka, słowo, wygłaszane na koturnach, mimika olimpijska, widziadłowe traktowanie obrazów, — wszystko to odrzuca uderza w najuroczystszy, odświętny dzwon. Widz zostaje raptownie, bez żadnego wstępu, prócz własnej, mocno podejranej skłonności do wzruszeń, — przerzucony w zaświaty. Zamiast teatru ma misterjum średniowieczne w oprawie najwyszukańszych, albo też, dla odmiany, najbardziej uproszczonych środków technicznych i z wysiłkiem podciąga się do właściwego poziomu, stara się wzbudzić w sobie odpowiednią tonację nastroju.

Taki zbiorowy wysiłek, takie duchowe rekolekcje mają — poza nieodłącznym od nich znudzeniem — jeden, ważny niesłuchanie, a dodatni, rezultat. Drogą nakazu moralnego, związanego z momentem obchodu, zmuszają publiczność do wydobywania z siebie akcentów woli i świadomości czynnej. Widz przestaje być biernym obiektem, odbiorcą mniej lub więcej obojętnym wrażeń estetycznych: staje się elementem aktywnym, biorącym czynny udział w widowisku nie przez zdawkową monetę oklasków, ale przez wypracowywanie w sobie człowieka wewnętrznego.

Tą zatem skalą psychologii wychowawczej mierzyć powinniśmy doniosłość widowisk tego rodzaju, daleko sięgającą poza ich znikomą aktualność reprezentacyjną. Z tej wyżyny roztrzaskając wybór sztuk, musimy wyeliminować zeń wszelką przypadkowość, która w danym wypadku jest niedopuszczalna i wręcz szkodliwa, zwłaszcza pod kątem widzenia narodowego wychowania mas.

Trzeba pamiętać, że każde ziarno słów wieszczu, w te dnię pamiętne jego pośmiertnego powrotu do kraju, pada na grunt specjalnie nasłony, a niekoniecznie odpowiednio przygotowany pod zasiew. Któż to u nas zna — poza garstką znawców i wielbicieli — naprawdę Słowackiego? Kto zbadał kręte ścieżki jego mistyki? Kto ma istotne, niezaprzeczalne prawo być jego apologetą, lub nie tylko namiętnym, ale i konsekwentnym przeciwnikiem? Prawdopodobnie możnaby te umysły anheliczne zliczyć na palcach jednej ręki... A tymczasem...

Tymczasem teatr Polski dał we wspaniałej, poprostu pomnikowej inscenizacji i oprawie dekoracyjnej jeden z najbardziej zawitych, najmocniej o metafizykę zahaczonych poematów dramatycznych wieszczu. „Samuel Zborowski” jeszcze mniej był chyba do tychczas znany ogółowi, niż „Król Duch” i „Genezis z Ducha”. Dzisiaj narzucono go wyobraźni tłumów przez scenę. Jest to wyłom, dokonany w murach naszej ignorancji, wyłom szlachetny, ale czy szczęśliwy? Czy każdy słuchacz w płomiennej obronie Lucifera, wnoszonej przed sąd Boga za Zborowskim dopatrzy się apologii wolności? Czy nie poszuka w niej skwapliwie raczej uwielbienia szlacheckiej samowoli w przeszłości, — żelaznego listu, uprawniającego anarchję, na przyszłość? Czy nie należałoby premjery „Samuela Zborowskiego” poprzedzić kilkoma publicznymi odczytami, odgrywanymi rolę drogowskazów po tych manowcach genialnej ale jeszcze ostatecznie nie skryształizowanej myśli? — Zaznaczam, że są to wszystko zastrzeżenia natury czysto wychowawczej: — strona artystyczna widowiska była bez zarzutu. Poszczególne momenty dekoracyjnej, np. Amfitryta i scena sądu, miały charakter wprost rewelacyjny.

Teatr Narodowy, wznawiając wielokrotnie już wystawianego „Księcia Niezlomnego”, brał niewątpliwie pod uwagę powrót prochów Don Fernanda okrętem do ojczyzny, przedziwnie kojarzący się z realizacją sprowadzenia zwłok wieszczu. Zanim ujrzelśmy hebanową trumnę, rozrzucającą drobny, na turniach królewskiej purpury, przepływającą ponad wielotysięcznym tłumem stolicy, mieliśmy możność uczcić ją „in effigie” w trumnie Infanta, niesionej na barkach rozkutyh niewolników.

Inscenizacja i reżyserja Osterwy miała, znany już zresztą do drze całej Polsce, akcent szlachetności i prostoty. Był to odlew cennego kruszcu i wysokiej próby. Przypisać jednak trzeba, że, o ile chodzi o wykonanie roli tytułowej, to widzieliśmy już Osterwę w szczęśliwszych momentach. Są czasem niezbadane kaprysy psychiki aktorskiej, które kładą tłumik na struny ekspresji tam, gdzie go być nie powinno.

Fragmenty z „Księdza Marka” i z „Kordjana”, odegrane na Starem Mieście, obudziły zrozumiałe zaciekawienie niezwykłością widowiska pod odkrytym niebem. Użycie kotar, zamiast zbędnych w danym wypadku dekoracji, było pomysłem niezwykle szczęśliwym. Co do wyboru wykonanych fragmentów, to jeden z nich, związany z obłężeniem Baru, — drugi, ze spiskiem koronacyjnym, — miały napięcie uczuć bohaterskich, zgodne z momentem i tłem murów staromiejskich, które wydały Kilińskiego i wyobraźnię tyłu poetów syciły sokami natchnienia. Adwentowicz, w roli Księdza Marka, miał właściwy akcent bohatera woli i ekstazy duchowej. Jest to jeden z tych rzadkich artystów, którzy rozumieją walor słowa, nie przeceniając go i nie spychając na drugi plan. Nie o wszystkich wykonawcach innych ról da się to samo powiedzieć. Nowakowski w „Kordjanie” zanadto podkreślał pozę i sztuczność teatralną tego niedoszłego bohatera, którego krytykowano wielokrotnie, i słusznie, ale którego przecież Słowacki serdecznie ukochał, wcielając weń najtkliwsze marzenie o sobie. Deklamacja „Testamentu” i „Uspokojenia” jeszcze raz dowiodła, że nasi artyści nie mają „szkoły”, w tym kierunku. Sama intuicja wystarcza tylko genjuszom. Ich twórcom trzeba czegoś więcej jeszcze.

S. P. O



O KINIE

Na zakończenie moich pogawędek o X muzie, bardzo zresztą pobieżnych i szkicowych, chciałbym parę słów powiedzieć o filmach polskich. Muszę zacząć od ciężkiego westchnienia. Bo trudno, ale u nas nie docenia się znaczenia filmu w życiu współczesnych ludzi i nie zdaje sobie sprawy z jego ogromnej wartości propagandowej. Przytem twórczość filmowa jest u nas na bardzo dziwnej drodze od początku swego istnienia: mam na myśli scenariusze i aktorów.

Te pierwsze są brane systematycznie z literatury. Są to przeróbki powieści, nowel, sztuk scenicznych,—stale, nieuchronnie. A gdy się nawet zdarzy, że pan X. napisze sztukę do filmu, to robi z niej potem nowelę i drukuje. Niema zdecydowanego rozgraniczenia literatury i filmu. Bo film może być powieścią ilustrowaną, ale powieścią, złożoną z obrazów, mówiących same za siebie, opatrzoną krótkimi napisami. Powieścią barwną, pełną ruchu, ale nie przeróbką, ani też przerabianą później z ekranu na książkę.

A tymczasem u nas wciąż od lat robi się to samo. Mielśmy filmowaną „Urodę życia“ i „Wierną rzekę“, „Carewicza“ i „Trędowatą“, Pana „Wołodyjowskiego“ i „Iwonkę“, a ostatnio „Uśmiech losu“—powieść, sztukę sceniczną i film! Powieść, w literaturze choćby najbardziej barwniejsza, na ekranie wyjdzie mdło. Bo całe strony przeżyć psychologicznych, myśli, stanów duszy, zmian i usposobień — nie uda się sfilmować, w uzewnętrznieniu dadzą tylko mimikę twarzy, która—*a la longue* nuży, nawet śmieszy. Film jest bajeczny, gdy tętni rozmachem, gdy ma tempo, nerw współczesności. I dlatego potrzeba specjalnych scenarzystów, w którychby się udało przez szereg scen przeciągnąć nitkę sentymentu, moralną naukę choćby, jak w filmach amerykańskich, przygotowywanych dla najszerzszych mas całego świata.

Film może wywołać nastrój bohaterski, szlachetny, czuły, smutny—wszystko zależy od umiejętnego scenarzysty. Widocznie jest to bardzo trudną sztuką, skoro w Polsce nie stworzyliśmy ani jednego filmu, pod tym względem bez zarzutu.

Drugą słabą stroną są aktorzy. Na Zachodzie rzadko się zdarza, by artyści dramatyczni grywali jednocześnie na scenie i do filmu. Są specjalne szkoły i specjalne kategorie aktorów, wyłącznie filmowych. Bo jest ogromna różnica między sceną, na której operuje się żywym słowem, będącą w bezpośrednim kontakcie z widownią, a sceną filmową, niemą, gdzie mimiką i gestem należy sprecyzować całe uczucie i treść. Trudne, — o ile wogóle możliwe — jest dobre jednoczesne granie tu i tam.

U nas od początku tworzenia filmu używa się, jako atutów, wielkich artystów dramatycznych. Prawdziwie wielkie talenty, ustalone sławy, profanują się dla ekranu. Bo gdy się umie czarować swoim głosem cały teatr, to nie zawsze uda się to, kręcąc oczami i wykrzywiając maskę twarzy przed obiektywem. Artysta dramatyczny, grający do filmu, będzie zawsze za wiele ruszał ustami, bo będzie chciał mówić.

Do filmów trzeba nowych ludzi, nowych talentów, nieraz ogromnych; ludzi pięknych, nieopatrzonych w stu granych przez nich rolach. Tego ani rusz nie chcą zrozumieć twórcy filmów polskich. Mamy, wprawdzie, sławy kinowe rodzimego pochodzenia, ale zagranicą; mamy nowe zastępy młodych akto-

rów, zdolnych do objęcia ról, ale zawsze, jako gwiazdę, bierze się nieszczęśnika ze sceny, błaga o przyjęcie roli, daje kolosalne honorarium, reklamuje, aby osiągnąć cel — chybiony.

Trzecim błędem jest nasza reżyserja. Gdy Zachód i Ameryka rozumieją od początku istnienia kinematografji, że główną jej treścią, podstawą bytu, jest uwiecznienie ruchu, a zaraz potem owa olbrzymia dziedzina złudzeń, w które można wprowadzać widza, tysiączne tricki, ścinające krew w żyłach, wreszcie zdjęcia, umożliwiające odczuwanie najróżnorodniejszych przeżyć — u nas wciąż się walczy o sentymentalne powiastki i nie stosuje literalnie żadnych sztuk, gwoździ podniesienia efektywności obrazu i skali wrażenia. Nic. Nic, coby emocjonowało widza. Nasze kino, to sfilmowana prowincjonalna scena z przed kilkadziesiąt lat. Na której bohater „przeżywa“ ból, gryząc usta i łamiąc dłonie, a panna patrzy w namalowane w ścianie okno i łyka łzy, gdy zechcą wypłynąć z pod powiek.

Od bardzo niedawna wprowadzono auto, zdjęcie z samochodu, bodaj czy nie poraz pierwszy w „Iwonce“. Gdy chodzi o jakieś przecucia, coś niesamowitego, niema najmniejszych prób w tym kierunku. Podobno kosztuje to bardzo drogo. Trudno: Lepiej zrobić jeden obraz na parę lat, ale taki, aby go można pokazać światu, niż parę tandet, mających powodzenie jedynie na prowincji.

A przecież, mimo wszystko, robimy postępy, i to w trudnej rzeczy, bo w technice zdjęć. Są one coraz lepsze, coraz wyraźniejsze. Prawie nie ustępują najlepszym zagranicznym obrazom: czyste, ostre, oddają doskonale piękno naszego krajobrazu, zabytki miasta, architekturę. Gdyby tak sprządz pomysłów, energiczną reżyserję, kapitał, jeśli nie kolosalny, to, bądź co bądź, spory, zastęp młodych sił aktorskich, nieopatrzonych ze sceny, pełnych żywiołowości, wygimnastykowanych, jak aktorzy amerykańscy, istniejących operatorów i, wreszcie, prawdziwie nowoczesny scenarzysta! Scenarzysta, któryby pozwolił nie odgrywać dziesięciu scen w tym samym końcu salonu, któryby nie kazał bohaterom ciągle rozpaczać, martwić się, topić, strzelać, płakać, któryby pokazał ciężką, zdrowie, siłę, rozmach, zwycięstwo ducha, a nie upadek, poddanie się, klęskę. Scenarzysta optymistyczny, zdrowy, pełen życia!

Żebyśmy mogli w nim i sami zobaczyć i innym pokazać, że w Polsce są nietylko wykolejenci, potulne gęsi, stuletnie matrony i szubrawcy we frakach, ale i jakaś silna, walcząca i budująca generacja. Scenarzysta, któryby w barwnym kalejdoskopie pokazał miasta i wsie, góry i morza; by siedząc w miescie, zobaczyć coś z cudów przyrody własnego kraju: jeziora, puszcze, rzeki. Nie tylko wtedy, gdy na tle krajobrazu młoda para ściska się za ręce, lub knuje coś złego.

Czyż nie znajdzie się w Polsce siły, by stworzyć promienny, nawskroś nowoczesny film, bez ciągłej myśli o nutach patriotyczno-łzawych, męczeńsko-bohaterskich, uległo-pokutniczych. Bez łez, złodziei i szubrawców?

Film słoneczny, z anteną, autem, samolotem, z dowcipną intrygą, tak ogólnie ludzką, by wszędzie mógł być zrozumiany, mile przyjęty, by mógł być rozrywką, uśmiechem siły i pogody, rzuconym w świat. Niech się dowiedzą na dalekim zachodzie, że w Polsce są ludzie, żyjący kulturalnie, są zdobywcy techni-

ki i piękne krajobrazy. Niech zostanie w pamięci po powrocie z kina do domu jakiś strzęp rozległych pól, jakiś szumiący bór, coś, co pozostanie w duszy angiela, francuza, czy amerykańnika i zwiąże się z martwym słowem, z nieznaną nazwą dalekiego kraju — Polski.

Taka propaganda jest najlepszą, jaką można wymyślić w czasach dzisiejszych. Wyteżmy więc wszystkie siły, by nasz przemysł filmowy dzwignął się na wyższy stopień i zabłysnął w świecie. A nieobliczalne zasługi może nam przynieść pogardzone i nierozumiane dziś nalezyscie — kino. Zygmunt Knothé.



HISTORIA CHLEBA I DZISIEJSZE OD NIEGO WYMAGANIA

Wódz Indian powiedział do swojego szczepu „Czy nie widzicie, że biali żyją ziarnem, wy zaś — mięsem?”

Ze mięso musi rosnać 30 miesięcy i jest rzadkością, a każde z cudownych ziarn daje stokrotne plony?

Ze mięso ma cztery nogi do ucieczki, my zaś tylko dwie — do łapania go?

Zanim cedry nasze wymrą ze starości... plemię białych siewców zniszczy plemię spożywaczy mięsa, o ile łowcy ci nie poczną siać!”

Jak wiele zawdzięczamy kobiecie, trudno dzisiaj stanowczo o tem sądzić! Chwilowo musi nam wystarczyć sąd jednego z największych obecnie rzeczoznawców pracy ludzkiej H. Emerson'a, który wyraża się w tej sprawie w sposób następujący „za wszystkie zarodki cywilizacji jesteście obowiązani kobiecie, ale to, czemu kobieta daje pierwszy bodziec, mężczyzna wprowadza w czyn i rozwija na olbrzymią skalę”.

Może to słowo „za wszystkie...” jest nazbyt szczerobliwe, jednak wypadek, jaki obecnie rozpatrujemy, potwierdza to zdanie; bo oto cały szereg badaczy historii rolnictwa zgodnie podnosi ogromne znaczenie, jakie miało — zapoczątkowane przez kobiety — zbieranie nasion i ich pierwsza uprawa, w okresie, kiedy ludzie żywili się jeszcze tylko tem, co przygodnie napotkali. Za inicjatywą i wyłączną pracą ówczesnej kobiety bywały nagromadzane nieznaczne zapasy owoców i nasion jadalnych, a w późniejszych okresach były one świadomie przez kobiety uprawiane. Im to więc zawdzięczamy zapoczątkowanie rolnictwa, a temsamem wszystko, co z niego wypływa.

Nikłe i bardzo różnorodne były te początki, a trud człowieka pierwotnego niewymownie wielki.

Uwadze zbieraczy nie uszła żadna pożyteczna część rośliny, a nawet takie rzeczy, jak przeróżne glony morskie, kora wierzby i brzozy, pączki i liście — były przez długie czasy jadane.

Nie wszystkim były dostępne takie smakołyki, jak kłaczka, jagody, orzeszki, wreszcie owoce i nasiona traw, które się najdłużej dawały przechować. Z tem to przechowywaniem miały ludy pierwotne wiele kłopotu: nagromadzane przez nich zapasy żywności roślinnej były tylko wtedy możliwe do zjedzenia, póki

były świeże, lub przechowane w sposób, utrzymujący tę świeżość. Zrozumiałem jest, że zeschłe liście, paprocie, lub mchy, były zupełnie pozbawione smaku. Szczęście sprzyjało ludom pierwotnym, bo przyszło im w pomoc samorzutne zakwaszenie się tych zbiorów, co chroniło je przed zepsuciem i umożliwiało spożywanie smacznych kiszonek. W kiszoncek tych, znajdowało się najczęściej wszystko, co tylko dało się nagromadzić, a znaczna ilość soków owocowych czyniła z nich ulubioną potrawę. Zakiszenie odbywało się w dołach, wygrzebanych w ziemi, który to zwyczaj przechował się do naszych czasów we wschodniej Małopolsce, gdzie w ten sposób kiszą kapustę i jabłka.

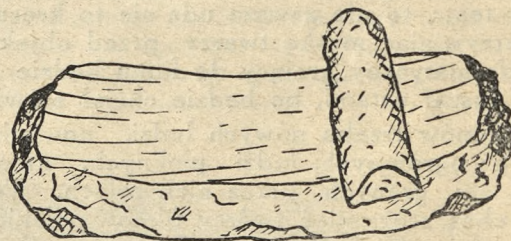
W krajach zachodnich są kiszonki tylko sporadycznie spotykane, z wyjątkiem kiszanej kapusty, ogórków i rydźów, a amerykańanie nie uznają nawet kwaśnego mleka; w krajach słowiańskich znamy je jeszcze b. dobrze pod nazwą bragi, barszczu, kisielu, kwaśnej kawy u Łotyszów, a wreszcie pod nazwą „kwasu”, tak rozpowszechnionego napoju. Pierwotne to pożywienie rozwinęło się z czasem na gotowane polewki i na napoje pitne, z których, przy większej ilości soków owocowych, powstają napoje alkoholowe, wreszcie wina i wódki.

Przejście do potraw gotowanych stało się dziejowym momentem dla ludów pierwotnych. Nie łatwe to było gotowanie, gdy się nie miało garnków, a bez nich możliwości „gotowania na ogniu”. Jednak pierwotny człowiek znalazł na to radę: wypłatał gęste kosze, które wylepiały od wewnątrz gliną. Okazały się one dość szczelne, by nie przepuszczać polewki. W kosze, napełnione polewką, wrzucano rozpalone w ogniu kamienie dotąd, dopóki cała zawartość dostatecznie się nie ugotowała. Gotowanie polewek umożliwiło spożywanie wielu nasion, które — w stanie surowym — nie nadawały się do konsumpcji; np. żołądźce muszą być przy pomocy gorącej wody najpierw pozbawione gorzkości.

Wśród materiałów, nadających się najlepiej na słodką polewkę, zajęły pierwsze miejsce nasiona wielu traw. Spisy podają je w ilości kilkuset, ja przytoczę powszechniej znane, jak: nasiona manny, prosa krwistego, rizani albo owsa wodnego, wydmuchrzyca piaskowej, dzikiego ryżu i grochu, perzu, włósnicy sienie i t. d. Niewiele z nich jest w dzisiejszych czasach spożywanych, a to z powodu zmiany smaku ludzkiego, ich wartości odżywczej i wydajności ich plonów przy świadomej uprawie.

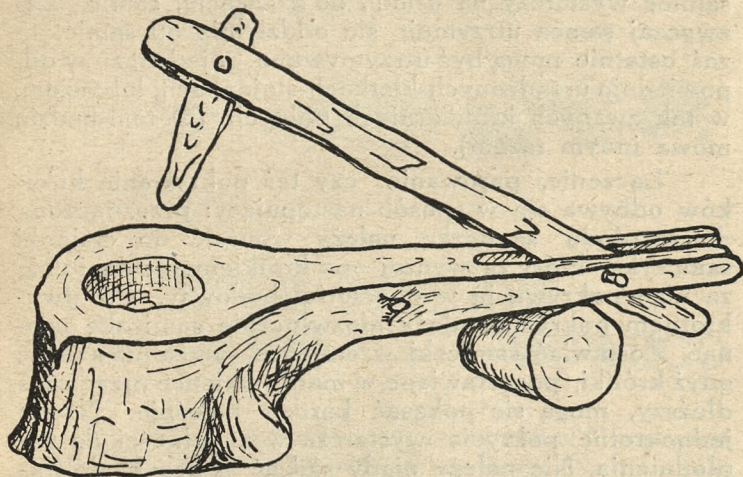
Dzisiaj, zależnie od klimatu, dominujące miejsce nasion trawiastych zajmują: ryż, kukurydza, — a u nas stopniowo — proso, owies, jęczmień, żyto i pszenica.

Pierwotne zbiory tych nasion odbywały się zupełnie inaczej, jak dzisiaj. Ziarna były — poprostu — wybijane kijami z kłosów na rozpostartych skórach, a słoma palona. Wskazuje na to starosłowiańska na-



Kamień do rozcierania ziarna

wa „ugor“ i bezwartościowość słomy, gdyż hodowla bydła domowego była jeszcze nieznana. Z epoki kamiennej przechowały się noże do ucinania samych kłosek z ziarnem, bez słomy, które to zbiory zwano szczypanką. Z tego pierwowzoru noża kamiennego rozwinął się sierp i kosa, a z zastosowania maszynowych nożyc — nowoczesne żniwiarki.



Stępa

Z czasem przeszedł lud „zbieraczy“ przygodnego pożywienia roślinnego do świadomej uprawy pewnych gatunków roślin, bogatych w skrobię, białko i sole. Kierowali się przytem odczuwanym uczuciem sytności, jakie pewne rośliny wywoływały po ich spożyciu, czasem upodobaniami smaku. Coraz chętniej spożywano nasiona traw, które po wyschnięciu przedstawiały twarde ziarna i musiały być z tego powodu poddawane jakimś zabiegom przygotowawczym, udostępniającym ich smaczne wnętrze. — Różnie sobie radzono: — moczono ziarno, suszono, lub prażono, tłuczono je i myto, by się pozbyć plew, wreszcie, po wysuszeniu, rozcierano — później — grubo mielono. Z otrzymanego śrutu gotowano mniej lub bardziej gęste bryje i kasze, a próby wypieku ich dały w rezultacie placki — wkońcu — chleb. Przejścia te nie były łatwe, a ostatnia ich forma — w postaci chleba — jest b. niedawna. W Polsce są miejsca, gdzie jest mało spotykany, a $\frac{2}{3}$ ludzkości globu ziemskiego jeszcze go wcale nie używa; należą do nich przedewszystkiem ludy, uprawiające ryż, jak chińczycy — i kukurydzę, uprawianą w dużych ilościach w jej ojczyźnie Ameryce. Z ryżu i kukurydzy niemożna chleba wypiec.

Bardzo ciekawe są sprzęty, przy których pomocy przygotowywano ziarno do spożycia. Najstarsze, jakie tu i owdzie znaleziono, są to płaskie kamienie, nieco wklęsłe, długości od 0,5 do 1,5 metra, a szerokości około 50 cm, na których zboże rozcierano przy pomocy drugiego kamienia, dobranego tak, by był wygodny w uchwycie.

W krakowskim Muzeum etnograficznym jest przechowany słowiańskiego pochodzenia móździerz drewniany, w którym przy pomocy pałki robiono pęczak z jęczmienia. W tak zw. stępie, mało wydajną czynność ręki zastąpiono pracą całego korpusu. Stępa jest zrobiona z drzewa, w jednym końcu wydrążona, a w drugim tak rozcięta, by mógł w niej poruszać się stępor. Ten ostatni roztlukuje ziarno, znajdujące się w wydrążeniu, z którego można wysiać wcale dobrą mąkę; pomimo to, stępa służyła raczej do robienia



Ręczny młynek do mielenia ziarna

krup, lub do obłuskiwania ziarna, a nie do robienia mąki. Dopiero kamienie obrotowe, w których odbywa się prawdziwe mielenie, umożliwiły wyrabianie mąki w większych ilościach. Kamienie te składają się zawsze z dolnego — ciężkiego i górnego — lżejszego, który służy do obracania.

Wielkość ich jest bardzo rozmaita: począwszy od takich, które ścisano między kolanami, (jak dzisiejsze młynki do mielenia kawy) poprzez znane nam dobrze żarna, aż do dużych młynów domowych, obracanych przez niewolników, — za czasów rzymskich.

Mąka takiego pochodzenia nie jest nigdy białą, a co najprzykrejsze — to zawarty w niej piasek ze startych kamieni.

Obecnie otrzymuje się najlepszą mąkę przez stopniowy przemiał ziarna w młynach walcowych.

Z otrzymanego w ten sposób grubo zmielonego ziarna ugniatano z małą ilością wody pluskanki i wypiekano w gorącym popiele placki. Jeszcze i w obecnych czasach pieką podobnie ziemniaki, a huculi — różne podplomyki. Przejściową formą było pieczenie na wklęsłych kamieniach, rynkach glinianych i rusztach żelaznych, a przełomowym momentem stało się pieczenie pod gorącymi naczyniami. — W izbie na klepisku z gliny, lub wyłożonem kamieniami, rozpalało ogień, mający na celu zagrzać dostatecznie klepisko, oraz duży garnek gliniany. Po uprzątnięciu ognia, zamiatano klepisko, kładziono nań przygotowane placki, przykrywano je gorącym garnkiem, na który nasypany był żar i popiół. Sposób ten okazał się b. dobry, bo wilgotność ciasta nie zetracała się, a przeciwnie — spulchniała ciasto; to też system ten zachował się do dzisiejszych czasów, z tą tylko różnicą, że garnki gliniane zastąpiono piecami kopułowymi.

(d. n.)

M. Szadurski.

JUŻ WYSZŁA Z DRUKU KSIĄŻKA
DR. JULJI ŚWITALSKIEJ

p. t.

KOBIETA NOWOCZESNA WE WSZYSTKICH OKRESACH JEJ ŻYCIA

Książka ta w sposób rozumny i pełen doświadczenia życiowego ujmuje zagadnienia życia kobiecego od dzieciństwa aż do starości i niewątpliwie stanie się przyjaciółką każdej nowoczesnej kobiety.

Cena 6 zł.

Z poleconą przesyłką pocztową 6 zł. 60 gr.

Skład główny w Tow. Wyd. „Bluszcz“

Po otrzymaniu 6 zł. 60 gr. przekazem, lub przez P. K. O. na konto Nr 13.555, książkę natychmiast wysyłamy.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie wysyłamy.

ROZMNAŻANIE KRÓLIKÓW

Króliki, podobnie jak i inne gryzonie, odznaczają się bardzo dużą płodnością i szybkim dojrzewaniem.

Teoretycznie rzecz biorąc, moglibyśmy od pary królików doczekać się—w kilka lat—setek tysięcy tych zwierząt. Lekkomysłnem wszakże byłoby podobne rozumowanie, bowiem praktyka wykazała, iż nadużywanie siły rozrodczej u królików wywołuje zjawiska degeneracji, a w związku z tem i wielką śmiertelność. Umiarkowanie i rozważa są w tym wypadku najbardziej wskazane.

Na zasadzie osobistych spostrzeżeń i długoletniej praktyki, przestrzegam przed używaniem do rozplodu królików, które nie osiągnęły pełnej dojrzałości fizycznej, a więc—rasy mniejsze—przed siedmiu miesiącami, olbrzymie—przed dziesięciu, a nawet dwunastu miesiącami.

Popęd płciowy jawia się u królików często bardzo wcześnie, nieraz już u sztuk czteromiesięcznych, dopuszczenie jednak tychże do rozplodu oznaczałoby rozmyślnie dążenie do unicestwienia całej hodowli. Również nie należy dopuszczać do zbyt częstych wykotów w ciągu roku.

Norma—to cztery wykoty. Wówczas i samiczka się nie zmarnuje i młode nie będą ginąć.

Należyty wybór rozplodników decyduje zazwyczaj o losach królikarni. Przy ocenie rozplodników należy uwzględnić nie tylko wartość królika z punktu widzenia jego rasowości, ale nadto jego wiek, pochodzenie, zdrowie i działalność produkcyjną.

Królik żyje przeciętnie do 8 lat, największą wszakże siłę rozrodczą posiada w okresie od 1 do 3 lat. Następnie z każdym rokiem traci tę zaletę. To też zazwyczaj króliki zostawiane są w hodowli nie dłużej nad trzy lata, z wyjątkiem niezwykle cennych okazów, od których chcą otrzymać choć nieliczne, ale wyjątkowo piękne potomstwo.

Pochodzenie królika ma również bardzo duże znaczenie.

Musimy mieć przeświadczenie, iż okaz, nabywany do rozplodu, nie jest wynikiem przygodnego krzyżowania różnorodnych, pod względem rasowości, rozplodników, lecz sztuką bezwzględnie rasową (czystej krwi). W przeciwnym razie będziemy mieć w potomstwie ciągle niespodzianki.

Pamiętajmy, iż wśród królików, niby rasowych, spotyka się bardzo często mieszańce, o ile króliki są chowane bez należytej opieki i gdy królikarnia nie ma określonego kierunku. Tymczasem czystość rasy jest niezbędną, o ile hodujemy króliki na futerka. W przeciwnym razie nie zdobędziemy nigdy większej partii jednakowych skórek.

Samiec, przeznaczony do rozplodu, powinien być wesoły, żwawy i odznaczać się silną budową: piersi powinien mieć szerokie, głowę okrągłą, jak kot, oraz dobrze rozwinięty kościec. Trzeba unikać używania do rozplodu sztuk rachitycznych—o garbatych plecach, krzywych nogach i t. d.

Płaska głowa, skrzywiony ogon, zwisłe uszy (z wyjątkiem królików-baranów) są to wady, które dyskwalifikują królika, jako sztukę rozplodową. Samica rozplodowa powinna mieć delikatniejszą budowę, głowę wydłużoną, dobrze rozwinięte kości miednicy i wydętą sutki. Powinna być przytem łaskawa

i spokojna. Zauważyłem niejednokrotnie, iż złe samice gorzej karmią swe dzieci i nieraz je pożerają.

Jeszcze na jeden szczegół należy zwrócić uwagę, mianowicie, aby króliki, przeznaczone do rozplodu, nie były w zbyt bliskim pokrewieństwie między sobą. To też, zakupując króliki do rozplodu, należy nabywać samce i samice z różnych hodowli. Zazwyczaj jeden samiec wystarczy na osiem, do dziesięciu, samic. Zazwyczaj samca utrzymuje się oddzielnie od samic, te zaś ostatnie mogą być utrzymywane pojedynczo w odpowiednio urządzonych klatkach-stajenkach, lub razem, w tak zwanych królikarniach polnych. (O tem będzie mowa innym razem).

Łączenie, parowanie, czy też pokrywanie królików odbywa się w sposób następujący: przeznaczoną do rozplodu samiczkę należy wpisać do stajenki samczyka, który zazwyczaj—po krótkim uganianiu się za nią—pokrywa ją w obecności hodowcy. Po dwukrotnem pokryciu należy niezwłocznie samiczkę usunąć. Zostawiać samiczki w stajence samca nie należy, gdyż króliki, pozostawiane w małej stajence przez czas dłuższy, mogą się pokąsać bardzo boleśnie. Nawet jednokrotne pokrycie wystarcza w zupełności do zapłodnienia. Nie należy nigdy sadzać samczyka do stajenki samicy, gdyż ten, będąc w miejscu nowem, zaczyna rozglądać się, obwąchiwać klatkę i t. d. i wogóle czuje się nieswojo; natomiast samiczka, posadzona do stajenki samczyka, jest onieśmielona, co ułatwia parowanie. Samiczki noszą zwykle 30 dni. Zazwyczaj na kilka dni przed wykotem, a czasem nawet i w sam dzień wykotu, samiczka buduje legowisko dla mającego przyjść na świat potomstwa.

Legowisko to składa się ze ściółki i wewnątrz jest wysłane miękką sierścią, którą samiczka wydiera sobie z brzucha i boków. Aby ułatwić samiczce budowanie legowiska, należy na parę dni przed wykotem stajenkę wyczyścić i nasłać świeżej ściółki. Wykot przeważnie odbywa się nocą koło legowiska, poczem samiczka przenosi do niego swe dzieci, pokrywa je sierścią, podściółką, wreszcie nasuwa na to gniazdko nawóz, aby nie wzbudzało podejrzeń.

Najczęściej samiczka karmi swe dzieci nocną porą, a w ciągu dnia nie zbliża się do gniazda, aby je ukryć od oka niepożądanego. Aczkolwiek pożądanem jest, aby gniazda nie ruszać i nie niepokoić samicy, to jednak oględziny przychówku są niezbędne, chodź bowiem o to, aby w pomieszczeniu pozostawić tylko sztuki należycie rozwinięte i przytem nie więcej ponad 6—8 sztuk. Trzeba bowiem pamiętać, że samiczka posiada tylko tyleż sutoków, więc, gdy młodych jest więcej, rozwój tychże będzie niepomyślny. Bywają w miocie nieraz sztuki martwe, które również należy usunąć. Gdy samiczka dobrze karmi swe młode, te zazwyczaj mają pełne brzuszki, w przeciwnym razie skórka na brzuszkach bywa pomarszczona. O ile zatem stwierdzimy, iż karmienie jest niedostateczne, należy podawać samicy mleko, buraki, marchew, gdyż te pokarmy zwiększają zazwyczaj wydzieliny gruczołów mleknych. Zdarza się wszakże, iż samiczka (zwłaszcza młoda) nie karmi dzieci wcale, nie bacząc na to, że nie brak jej pokarmu. Wówczas należy ostrożnie odkryć gniazdo i przymusem posadzić matkę nad dziećmi, trzymając, dopóki nie dopadną sutek. Często się zdarza, iż zabieg ten daje dobre wyniki, bowiem samica zachęci się do karmienia. Gdy nic nie pomaga, potomstwo cennych sztuk należy ostrożnie podłożyć „mamkom”, t. j. innym dobrze karmiącym samicom, które wszakże

przyjmą cudze potomstwo tylko w okresie, kiedy mają własne małe w gnieździe.

Króliki rodzą się zwykle gołe i ślepe. Po kilku dniach pokrywają się sierścią, po dziesięciu dniach już widzą. Po dwóch tygodniach usiłują już wysuwać się z gniazda; po trzech tygodniach już chodzą za matką i próbują jeść przeznaczoną dla niej paszę, a po 6—8 tygodniach należy je oddzielić od samicy.

M. Trybulski.



KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W roku 1925 grono pań zawiązało w Warszawie Koło Studjów Gospodarstwa Domowego (K. S. G. D.). Powodem zrzeszenia się jest świadomość, że niedocenia się u nas umiejętności należytego prowadzenia gospodarstwa domowego, niema roztropnych oszczędności w tym kierunku, niema, u naszych pań zamiłowania do pracy, związanej z utrzymaniem i prowadzeniem domu. Dowodem, jak mało mamy zastanowienia w tym kierunku, jest to, że społeczeństwo toleruje, a nawet pochwała, gdy w sferach inteligencji panie zamężne, a co gorsze, panie, które mają drobne dzieci, pracują w biurach, lub w handlu, zaniedbując dom swój, powierzając dzieci swe służącej, często nieuczciwej i brudnej, zawsze pedagogicznie niewykształconej. Panie te wyobrażają sobie, że skoro pracują i zarabiają, nic im zarzucić nie można. Nie zastanawiają się nad tem, że bezład w domu jest źródłem największego marnotrawstwa, a ileż dopiero, wskutek tego, traci zdrowie fizyczne i moralne rodziny!

Przeżywamy dziś w Polsce okres przełomowy pod względem ekonomicznym. Więcej jest ludzi, niż warsztatów pracy. Wskutek tego, w Warszawie, jest obecnie łatwo o służbę domową. Przewidzieć jednak można zmianę z chwilą, gdy przemysł będzie uruchomiony; kto wie, czy wówczas nie zbliżymy się do stosunków amerykańskich, gdzie służba domowa jest nader rzadka, prócz w hotelach i pałacach miljarderów. Tembardziej powinny się nasze panie przygotować do samodzielnej pracy, starając się ją sobie umiejętnie rozłożyć.

Przez szereg minionych wieków nie istniały dla kobiet inne horyzonty i nie miały one innych aspiracji nad dom swój i pracę, z tym domem związane. Ale może właśnie z powodu ciasnoty horyzontu był to czas bezmyślnej rutyny i zupełnego braku postępu w dziedzinie gospodarstwa domowego.

Przyszła potem epoka, t. zw. emancypacji kobiet. Usunęły one dawne przeszkody, rozwarły sobie wrota na świat, i oszołomione zwycięstwem, oraz nadmiarem pracy, która na nie czekała, zaczęły drwić ze swoich wczorajszych zajęć i uważać je za poniżające. Był to czas zastoju w nauce gospodarstwa domowego, bo niedoceniano tej pracy.

Nie potrzeba było długo czekać na owoce takiego postępowania. Kobiety następnego pokolenia nie umiały zorganizować, ani wykonać żadnej pracy domowej i mar-

nowały grosz, ciężko zapracowany przez siebie, lub przez męża, bo nie potrafiły wyzyskać go należycie.

Dziś żyjemy w czasach reakcji. Zrozumiano, że podstawą społeczeństwa jest rodzina i dom, a bez ładu i dobrobytu niema w domu zadowolenia i spokoju. Warto zapoznać się z programem szkół średnich i uniwersytetów w zachodniej Europie, a szczególnie w Ameryce, oraz przeczytać pisma fachowe tych krajów, aby zrozumieć, w jakim poważaniu jest tam obecnie nauka gospodarstwa domowego. U nas też dużo się teraz mówi o wykształceniu praktycznym i dużo się robi w tym kierunku. Powstają szkoły gospodarstwa domowego w mieście i na wsi, seminarja nauczycielek fachowych, pisma specjalne, kursa szycia, gotowania, przetworów i t. d.

To, o czym dotychczas najmniej się myśli, to o sztuce rządzenia domem, a jednak fundamentem gospodarstwa jest organizacja, czyli umiejętność rządzenia funduszami, oraz czasem, siłami i czynnościami domowników. Organizacja jest konieczna, aby ująć w pewien system poszczególne kółeczka tej złożonej maszyny, której na imię „dom“.

Nie jest przesadą powiedzieć, że koniecznym warunkiem powodzenia w życiu codziennym jest porządek: — porządek w myśleniu, porządek w czynach, porządek u siebie i u podwładnych. Nie marnuje czasu gospodyni, która, obarczona nawałem pracy, zanim się do niej zabierze, siądzie i z ołówkiem w rękę obmyśli, w jakim porządku i w jaki sposób każda poszczególna praca wykonana być powinna. Aby wszystko było z ładem, czyli ładnie wykonane, musi być ład w domu, w kuchni, w rachunkach, w głowie.

K. S. G. D. ma na celu ułatwiać i doskonalić pracę pań, wpływając równocześnie na wykształcenie służących, a w szczególności, urządzać pokazy maszyn z dziedziny gospodarstwa domowego, zbiorowe wycieczki na odpowiednie wystawy i do zakładów wzorowo urządzonych, wreszcie wykłady fachowe i kursa gospodarcze; dalej wyszkolić instruktorki gospodarce, wpłynąć na uregulowanie stosunków między paniami, a służbą domową.

K. S. G. D. zamierza utrzymywać kontakt ze szkołami gospodarczymi i wypowiadać swe zdanie przy układaniu ich programów; porozumiewać się z budowniczymi, by nowopowstające kamienice były wygodne i praktyczne; wpłynąć na kupców, by wprowadzili dostawę artykułów spożywczych i opału do domów, na wzór zagranicy i t. d.

Jednem słowem, K. S. G. D. chce wykazać paniom, że umiejętnością i zaradnością mogą wyrzucić zba-
wienny wpływ na rodzinę i otoczenie, a przez to na społeczeństwo i naród.

H. Okęcka.



KWIATY

Czy można wyobrazić sobie człowieka, któryby nie lubił kwiatów, w którymby ich uroda, ich zapach, ich cudne barwy nie budziły lepszych i wznioślejszych uczuć? Najmniejsze, najskromniejsze mieszkanko ileż zyskuje uroku, przybrane choćby polnemi kwiatami. Jedną tylko mają kwiaty słabą stronę: — zerwane, więdną zbyt prędko. Kilka wskazówek, jak przedłużyć ich życie, przyda się może moim czytelnikom, z którymi miło mi jest dzielić się posiadaniem już, bądź też świeżo nabytymi wiadomościami. Kwiaty cięte przechowują się dłużej, jeżeli do wody w wazonie dodamy parę gramów tłuczonego mialko węgla drzewnego, albo dolejemy na litr wody łyżeczkę amonjaku. Dobrze też przechowują się kwiaty w wodzie z mydłem, trzeba tylko płókać im codziennie korzenie w zimnej, cystej wodzie, skrapiać kwiaty i kłaść zpowrotem w te same mydliny, które raz na trzy dni zaledwie zmieniać potrzeba. W gorące dni wodę zwyczajną w kwiatkach koniecznie zmieniać należy codziennie, płókać korzenie i zraszać kwiaty, inaczej prędko zwiędną, a nadewszystko nastąpi rozkład korzeni, rozsiewających przykrą bardzo woń, niezdrową zwłaszcza w pokoju chorego.

Chcąc kwiaty na sztywnych łądogach, jak róże, bez, jaśminy, długo utrzymać w świeżości, trzeba oskrobać łądogi tak wysoko, jak zanurzają się w wodzie, przycinając codziennie korzonki. Chcąc aby tak bardzo nietrwały, a nadzwyczaj efektowny do przypięcia kwiatek, jak róża, choć na jeden wieczór nam starczył, oskrobuje mu się korzonki, owija je grubą knotową bawełną, zanurza w wodzie, a gdy dobrze nasiąknie, owija się łądogę, nie wyciskając, ołowianym papierem.

Piwonje, białe lilje i gladiolusy zrywa się, kiedy zaledwie pękają pączki, kładzie w głębokie naczynie z wodą, wynosi do ciemnej, chłodnej piwnicy, a w miarę potrzeby przynosi do pokoju i stawia w wazonie, na świetle; w ten sposób kwiaty, rozwijając się powoli, długo zachowują świeżość i barwę. Georginie, wspaniałe w ogrodzie, niepraktyczne są do bukietów, prędko bowiem więdną; można przedłużyć ich egzystencję, zanurzając głęboko łądogi w gorącej wodzie i trzymając w niej dopóty, dopóki woda nie wystygnie. Tak samo więdnącym gałązkom bzu wrócimy świeżość, wkładając oskrobane łądogi w gorącą wodę.

Wszystkie letnie kwiaty, zwłaszcza w upały, zrywa się bardzo rano, o rosie, a dłużej zachowują kolor i zapach. Irysy trzeba ścinać ukośnie, nożem, jeszcze w pączkach—włożone zaraz do wody, rozwijają się potrochu i długo trwać będą; jeżeli się starannie wodę zmieniać będzie, a łądogi przycinać codziennie — wszystkie pączki się rozwiną. Więdące róże trzeba kłaść na noc do wanny z wodą zimną rano będą, jak świeże. Tak utrzymując chryzantemy, można zachować je w świeżości przynajmniej ze dwa tygodnie. Nigdy długo kwiaty nie wytrwają, jeżeli włożymy je w wazon o wąskiej szyjce, nie dopuszczając powietrza do ich korzeni, albo w bardzo płytkie naczynie, w którym korzonki opierają się o dno wazonu. łądogi, obrane z liści, powinny luźno i szeroko być rozłożone w wazonie; trzymane w chłodnym, przewietrzanym pokoju, ochraniane od piekących promieni słonecznych, długo zachowują świeżość. J. S.

LIPIEC W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Lipiec, miesiąc najpracowitszy dla pań na wsi, a w którym życie prawie zamiera w miastach. Na wsi cała kampanja smażenia konfitur i soków, gotowania kompotów i konserw z jarzyn, suszenia, marynowania, solenia tych jarzyn, przyrządzania nalewek i likierów, a to wszystko w połączeniu ze zwykłym w czasie wakacyj przepełnieniem domu przez dzieci krewnych, znajomych, — dzisiaj letników nawet. A to wszystko wczasie, kiedy sianokos, a później żniwa zajmują wszystkie ręce, zdolne do pracy, i kiedy pan domu niechętnie widzi zabranie każdej dziewczki z pola do ogrodu, lub kuchni, niepomyślny, że w lipcu robi się zapasy najlepszych smakołyków na zimę całą i że sam się będzie dopominał i o wiśniową nalewkę, i o zielony groszek, i o kompot agrestowy, i o inne dobre przystawki, podwójnie smaczne w zimie, gdy świeżych jarzyn i owoców zabraknie. Otóż, żeby jakoś jemu wszystkiemu podołać, należy sobie zrobić zgóry dokładny plan kampanji: obliczyć ilości, jakie nam są niezbędnie potrzebne, materiał jarzynowy i owocowy, jakim rozporządzamy, kupić zgóry cały potrzebny cukier, ocet, spirytus, korzenie i t. p. Słoje, słoiki, garnki i faszeczki, butle i gąsiory, szmatki płócienne i deneczka, bodaj że nawet kamyki, wypalone w piecu do przyciskania denek, już nie mówiąc o gumkach do Wecków, pergaminie, pęcherzach i szpagatach do zawiązywania słoje, pechu i parafinie do butelek, — wszystko to powinno być obliczone i przygotowane przed zaczęciem pracy.

O ile się tych robót przygotowawczych nie wykonało w mniej gorącym czasie, należy na nie użyć dzień słotny, — których w tym roku nam niebo nie żałuje. A potem systematycznie wyzyskiwać każdą wolną chwilę własną i tego robotnika, którego można urwać od prac w polu. Naprzykład ranne godziny, w których rosa nie pozwala pracować przy sianie, dziewczęta mogą poświęcić na łuskanie grochu, oczyszczanie z włókien fasoli, skrobanie marchewek na konserwy i suszenie, — nigdy na zbieranie owocu na konfitury: — wszelki owoc powinien być zbierany po południu, kiedy rosa doskonale obeschnie. Przy tej pracy, to jest przy zbieraniu owocu, która w dobranem gronie staje się miłą rozrywką towarzyską, mogą dopomóc dorastające dzieci, a nawet i goście, którzy chyba muszą rozumieć, że dzisiaj stosunki i na wsi o tyle się zmieniły, że jeśli tam jeszcze nie potrzebują, jak w mieście, liczyć się z każdym groszem i niemal kaskiem, to że ręk do pracy i tam nieraz brakuje i że pomocą w lekkich, łatwych zajęciach domowych wywdzięczają się poniekąd gospodarzom za gościnę. W lipcu zwykle wychodzi tyle nabiału na podwieczorki dla domowników i czeladzi, i dla wynajętego do prac polnych robotnika, że nawet w dobrych oborach niedużo go pozostaje na sprzedaż.

Jednak daleko miast dużych, gdzie ceny nabiału w tym czasie bardzo spadają, należy porobić na zapas zimowy sery ze słodkiego mleka, zwane rozmaicie: śmietankowymi i imitującymi szwajcarskie, litewskie i żmudzkie. Sery te, robione z niezbianego mleka, są wyborne, bardzo do wyrobu łatwe, doskonale się konserwują i zczasem, nabierając ostrości, w smaku wciąż zyskują tylko. Dawniej je robiono wyłącznie na

suszonych ślaskach ciejących, — dziś i tutaj mamy ułatwienie, „podpuszczkę”, czyli płyn, ścinający mleko. Kupuje się gotową w butelkach, wraz z przepisem jej użycia, — mają ją na sprzedaż zwykle sklepy narzędzi rolniczych i mleczarskich. Paniom, robiącym wina owocowe, muszę przypomnieć, że wina białe, o najszlachetniejszym smaku, są robione z agrestu i białych porzeczek, a na wina czerwone niezastąpionym niczem, jedynym wprost materiałem są jagody czarne. Tak niezastąpionym, że do Burgundji, ojczyzny najlepszych win czerwonych, pokrytej winnicami, przed wojną z Czarnolasu — „Schwarzwaldu” — w Niemczech, a obecnie po wojnie z Czech, idą całe pociągi tego taniego owocu na dodatek do winogron.

U nas też jagód nie brak wprawdzie, lecz nasi wieśniacy uważają podobno, że się nie opłaci ich zbierać, o ile nie można zarobić przynajmniej pięć — sześć złotych dziennie, — no a zagranica ma swoje ceny, — sześć złotych, to około dwudziestu franków, — tego za parę garncy zbieranych jagód napewno nie zapłaci. Oprócz konserw na zimę, serów, nalewek i win owocowych, kto ma czas i możność potemu, może w lipcu suszyć zioła i trawy lekarskie, kwiat lipowy i bzu lekarskiego, miętę i rumianek, szalwję i rutę, czomber i brunelkę, arnikę i żubrówkę, i wiele, wiele innych. Dzieci, chodzące na przechadzkę z bonami i niańkami, przy odpowiednich wskazówkach, mają przy tem rozrywkę i zajęcie i pogładową naukę botaniki. — Rozpisałam się o wsi, bo to jej miesiąc; panie, pozostałe w miastach czy to z powodu zajęć, czy braku środków na wyjazd odpoczynkowy, prac domowych mają mało. Życie towarzyskie zamarło, przyjęć niema, — poza zajęciami zawodowymi wolny czas spędza się w ogrodach, lub parkach, lub też oddaje ulubionym sportom, z których wioślarski jest na kanikułę najbardziej odpowiednim.

Pustka letnia w mieście ma i swoje dobre strony: można łatwiej i taniej znaleźć majstra dla odnowienia mieszkania, bielizniarka lub krawcowa w ogórkowym sezonie chętnie odświeży bieliznę i ubrania, kuśnierz wyreperuje futra. No i zapasiki małe, porobione teraz na zimę, też się przydadzą. Nawet w jednym pokoju, na gazowej, jednopłomieniowej maszynie można usmażyć doskonale konfitury, a ustawivszy na niej aparat „Weck’a”, ugotować kompoty i konserwy z jarzyn. Nawet na jednym, jedynym oknie można zrobić kilka butelek nalewek i likierów, — i oszczędzić sporo złotych na kupno trunków o nieznanym składzie.

Pani Elżbieta,



RYŻ ZAPIEKANY Z RYBĄ

Ugotować na sypko dobrą szklankę ryżu, dodając do wody sporą łyżkę masła. Półkilowego, wędzonego dorsza oczyścić ze skóry i z ości, połupać na kawałki rozmiaru włoskiego orzecha. Udusić w maśle

dwie spore cebule, pokrajane w plastry, lub odpowiednią ilość zielonego, młodego szczypiorku. W ogniotrwałem naczyniu, wysmarowanem masłem, ułożyć rzędami ryż, cebulę i rybę, — ostatnia warstwa powinna być z ryżu. Zrobić zwykły sos pomidorowy z pomidorów świeżych, lub konserwowanych: powinno go być na tę proporcję nie mniej niż dwie szklanki. Przebrać tym sosem ryż, osypać po wierzchu ostrym serem i wstawić na kwadrans do pieca. Jeśli zamiast dorsza użyć wędzonych flonder, potrawa będzie znacznie smaczniejsza.

KASZA JAGLANA Z SEREM

Szklankę kaszy jaglanej sparzyć trzykrotnie ukropem, aby usunąć z niej wszelką gorycz. Ugotować na sypko, dodając do wody łyżkę masła. Ostudzić, wymieszać z czterema szklankami świeżego, miękkiego sera (twarogu), osolić do smaku. Ogniotrwałą foremkę wysmarować masłem, włożyć w nią kaszę i wstawić na dziesięć minut w gorący piec, żeby się dobrze zrumieniła. Podawać w tem samym naczyniu z topionem masłem, lub ze świeżą, kwaśną śmietaną w sosjerce.

KASZA GRYCZANA z „RESZTKAMI”

Uprażyć kubek kaszy gryczanej, dodając drobno krajanej wędzonej słoninki do wody, aby kasza była bardzo sypka. Usiekać drobno dwa ugotowane na twardo jaja, garstkę koperku, talerz jakiegokolwiek pozostałego z obiadu gotowanego, lub pieczonego mięsa, — w dzień postny świeżej, lub wędzonej ryby, drobno pokrajać dwa serdelki, lub tyleż parówek. W ogniotrwałem naczyniu, wysmarowanem masłem, układać rzędami kaszę i wszystkie wyżej wymienione dodatki, skropić roztopioną słoninką i wstawić na kwadrans w gorący piec. Podawać gorące wprost z pieca, — oddzielnie do niej śmietankowe masło w kulkach i topioną słoninę w sosjerce. Wszystkie te trzy rodzaje kasz bardzo się nadają na letnie, beźmięsne kolacje.

POZIOMKI Z SOSEM ŚMIETANKOWYM

Pół kilo poziomek ułożyć w salaterce i polać następującym sosem. Dwie szklanki dobrego mleka, lub śmietanki zagotować, dwa żółtka utrzeć z pół szklanką cukru, dodać trochę utłuczonej wanilji, zmieszać z częścią mleka, wlać resztę i ogrzewać, mieszając, aż się zaciągnie, t. j. nieco zgęstnieje, nie dając się zagotować, bo żółtka by się zwarzyły. Tym sosem, nawpół przestudzonym, zalać poziomki. Postawić na kilka godzin przed podaniem w chłodne miejsce.

ŁATWA LEGUMINA Z POZIOMEK

Ćwierć kilo domowej, lub cukierniczej babki pokrajać w cienkie plastry i wyłożyć niemi równo salaterkę. Wsypać na to pół kilo przebranych poziomek leśnych, lub ogrodowych, osypać grubo paru łyżkami cukru, — pudru — gdyż kryształ źle topnieje.

Polać kieliszkiem (dużym) jakiegokolwiek białego wina i kieliszkiem (małym) jakiegokolwiek aromatycznego likieru: abricotiny, banana, lub maraskiuo (unikając likierów o zapachu dzięglowym: benedyktyнки, chartreus i t.p.) Uważać, aby cała babka była równomiernie polana. Potrzymać sześć godzin w chłodnym miejscu przed podaniem.

POZIOMKI W GALARECIE

Pół kilo poziomek przebrać starannie. Połowę najładniejszych wsypać do pięciu szklaneczek (szampanek), drugą połowę rozgnieść łyżką, zalać czterema szklaneczkami wody i wycisnąć przez szmatkę. Pięć listków żelatyny (jeden z nich czerwonej), rozpuścić w kilku łyżkach wody, dodać szklaneczkę cukru, na koniec noża kwasu cytrynowego, sok z poziomek, zagotować raz tylko i letnią galaretką zalać poziomki w szklaneczkach. Wynieść na chłód na sześć godzin przynajmniej i podawać w tych samych szklaneczkach.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Przechowywanie rzeczy wełnianych i futer i ochranianie ich od moli zapomocą ziół, proszków, zapachów,—skutkuje tylko na papierze. Prawdziwe zabezpieczenie to trzepanie i czyszczenie rzeczy wełnianych, a wyczesywanie futer, poczem natychmiast wkłada się je do hermetycznie zamykanych worków papierowych, albo zawija w krochmalone prześcieradła, broniące molom przystępu. W ten sposób zachowane, wieszają się w dobrze zamykanej szafie, albo układają ściśle w beczki po tytoniu, których czasem można dostać w składach tytoniu. Zabić mocno beczkę i trzymać ją w ciemnym, chłodnym, ale suchym miejscu.

* * *

Karty do gry prędko się brudzą, a tem samem niezdatne są do użytku. Można je oczyścić, wycierając zwilżonym gałgankiem, natartym mydłem marsylskim. Skoro wyschną, prasować je przez bibułę bardzo gorącym żelazem.

KAŻDA DOBRA GOSPODYNI POWINNA POMYŚLEĆ O ZAPASACH ZIMOWYCH I KUPIĆ KSIĄŻECZKĘ P. T.

„Konfitury, kompoty i konserwy owocowe”

W opracowaniu p. ELŻBIETY.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

JAK ZDOBYĆ I ZACHOWAĆ PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE

WSKAZÓWKI, CO ROBIĆ, ABY DO PÓŻNYCH LAT ZACHOWAĆ MŁODOŚĆ I URODĘ.

CENA 1 zł 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KORESPONDENCJE

Pani M. M. prenumeratorce „Bluszczu”. Przepisy, których Sz. Pani sobie życzy, znajdzie Pani wszystkie w „Życiu Praktycznym” — w zeszytach: „Konfitury, kompoty i inne konserwy owocowe”. Przepis na makagigi podaje: 20 deka cukru zmoczyć wodą i ugotować gęsty syrop; litr maku ogrzać mocno w drugim rondelku, a gdy syrop gotów, wlać go do maku, dobrze wymieszać, włożyć pełną szklankę miodu i tak długo wszystko razem gotować, aż będzie pachnieć prażonym makiem; wtedy wsypać pół łyżki pszennej maki, wymieszać i smażyć jeszcze z dziesięć minut, poczem wyłożyć na blat, albo półmisek porcelanowy, albo na stolnicę, dobrze wodą polaną. Cienko rozwałkować, pokrajać w kwadraciki i trzymać w suchym miejscu.

Pani L. L. w Poznaniu. Boję się udzielać Sz. Pani wskazówek, nie znając warunków, w jakich rosną jej pierwiosnki. Możliwe tu są dwie ewentualności: albo potrzebują przesadzenia, — albo coś je podgryza. Przesadzać teraz trochę późno. Sądję, że najlepiej zrobi Sz. Pani, sprowadzając ogrodnika, który jej na miejscu udzieli wskazówek, czy i jak trzeba przesadzić zagrożone kwiaty, jakiej potrzebują doprawy dla ziemi, jakiej wystawy etc. Wszak w Poznaniu ogrodnictwo tak wysoko stoi.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.